



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

KOBIETA I MIŁOŚĆ

w lirykach El-go.

(SZKIC ESTETYCZNO-LITERACKI).

(Dokończenie).

Do rzędu dodatnich również postaci niewieścich zaliczyć winniśmy postać dziewczycy z wiersza: „Łabędzi śpiew”. Przy „bladym świetle miesiąca, wśród płaczących drzew, nad przejrzystą tonią jeziora, po którym pływają białe łabędzie, stoi dziewczica „wybladła i drżąca” i zawodzi smutny, prawdziwie łabędzi śpiew; w śpiewie tym tyle brzmiało serdecznych jęków i żalu, że białe ptaki słuchały go nieruchome na tafli jeziora, sądząc, że to jeden z ich grona „przedśmiertny wylewa żal.” Co jest powodem tego żalu i tej rozpaczki dziewczycy? Dla tego tak smętnie się ona żali, że to dla niej ostatni dzień, w którym „wśród serca gwałtownych drzeń” przemawiać jeszcze może do snieżnych słuchaczy: jutro — „wykopią grób dziewczycy życia piosence, jutro „pogrzebią sen ideału, jutro bowiem jej ślub z niemiłym, niekochanym przez nią człowiekiem, do którego ją zniwala ją rodzice. Tak długo i nieustannie słyszała wciąż te słowa: „tak każą względy rodowe,“ tego wy magają „domu wysokie związki,“ że biedna dziewczycyna musiała w końcu poddać głowę „pod cień mirtowej gałązki, pod łańcuch, co włoży mąż.” Żegna się więc w tej chwili z rozpaczą, z czarownicami marzeniami snów dziewczyczych, z marzeniami o ideale i o szczęściu,

i z trwogą myśli o tej blizkiej przyszłości, o tem nienawistnem dla niej jutrze, które zgotuje jej nieznaną, niemiłą byt przy człowieku, którego nie kocha. Lęka się więc, „czy białych skrzydeł nie splami ten nowy posepny byt?” To tylko czuje, że „bez miłości, bez pociech odejdzie ztąd i już wśród białych łabędzi nie stanie w czystości dawnej.” Z bólem więc przepelnionego serca rzuca białym swym słuchaczom pieśń pożegnania, a ptaki słuchają ciekawie — „bo wiedzą, że to ostatni, prawdziwy łabędzi śpiew! Jest więc to typ sympatyczny czystej, głęboko czującej dziewczycy, ale nie posiadającej dość hartu woli i wewnętrznej energii do zaprotestowania krzywdzie, jaką czynią najdroższym marzeniom jej serca i do wywalczenia sobie prawa do szczęścia.

Typ nieco odmienny przedstawia dziewczycyna z wiersza „Abdykacya.” Będąc młodą jeszcze dziewczycyną „sukienkę nosiła w paseczki perkalikową,“ we włosach miała kwiatki polne, twarzyczkę różową zawsze — słowem, był to wzór paniątki wiejskiej, bardzo skromnej, uroczej i sympatycznej. Zachwycony jej urokiem mówi poeta: „nie było piękniejszej dziewczycy — daję wam słowo!” i opowiada, że była wówczas niby „królowną cudownych krajów,“ miała bowiem na swe usługi „orkierstrę śpiewną w królestwie zielonych gajów,“ i armię kwiatów brzegiem ruczaju. Zdawało się też, jakoby miała czarowną moc nad przyrodą: słodkie poranki wiosenne, i cudne sielskie krajobrazy, i noce gwiazdziste — wszystko to było na jej rozkazy i wszystko służyło ku jej ozdobie. Lecz dziś — dodaje poeta: „nie wiem, dla czego złożyła berło liljowe i na koronki zmieniła swoje korony tęczowe.” Dziś dawna skromna dziewczycyna wiejska jest wielką damą — „strojną bez miary,“ ma wspaniałe pałace z herbem na murach i starego męża, który spełnia wszystkie jej kaprysy. Czyż jednak naprawdę jest szczęśliwą? Czy jej nie

żał dziewczyczych marzeń i lat spędzonych z kwiatami? Odpowiada na to poeta:

„Choć króluje na balu
W każdym salonie
Znać na niej jakiś cień żalu
I marzy, wspierając dłonie
O swej sukience z perkalu
I polnych kwiatów koronie.”

Nie jest to więc serce czeze i puste, które da się wypełnić jedynie próżnością i uciechami wielkoświatowemi. Przeciwnie, nie czuje się wśród nich wcale szczęśliwą i żałuje może nie raz że dobrówolnie i tak nieopatrznie zmieniła na koronki „swoje liljowe berło i kwiatów korony tęczowe.”

Wszystkie rozpatrywane przez nas dotąd postacie niewieście zaczerpnięte są przez poetę ze sfery inteligentnej, wyższej. Asnyk dał nam tylko kilka drobniejszych wierszy, których treścią jest byt ludu lub ludowe typy. Bierzemy z nich jeden tylko, w którym charakterystycznymi i nader sympatycznymi rysami maluje się postać dziewczycy z ludu. Kochanek jej poszedł na wojnę; dziewczycę głęboko go kocha, tęskni za nim i drży śmiertelnie na myśl, że jej ukochany może zginąć. W pierwszej już strofice zarysowuje się głęboki jej ból i miłość: „chłopca mego zabrali, matulu! — żali się z płaczem „a ja za nim umrę z bólu.” Czyjemy, że to nie czoza egzaltacja salonowej lalki, lecz prawdziwe, głębokie uczucie dziewczyczego serca, które naprawdę zdolne pęknać z bólu. Obok tej szczerości uczucia ujawnia się tuż zaraz drugi rys charakterystyczny naszego ludu: religijność, głęboka wiara i ufność w wysłuchanie serdecznych modlitw. „Dałam na mszę sznur koralu” — powiada matce: „niechaj Pan Bóg go ocali, matulu!...” Niezawahała się poświęcić może najcenniejszą ozdobę, jaką miała, sznur koralu — byle tylko tą ofiarą

wyprosić u Boga zmiłowanie nad jej ukochanym; wiara żywa i miłość czynią ją hojną i zdolną do ofiar choćby największych. Wszystko oddaje w ręce Boga, a w poczuciu własnej bezsilności skarży się: „miłość moja nic nie może, ani lzy go nie zasłonią...“ Tu się wszakże myli: zapewne, lzy słabego dziewczęcia są bezsilne wobec grozy wojny i nie wstrzymają ciosu wroga, skierowanego przeciw ukochanemu, ale za to miłość—jeżeli jest rzeczywiście głęboką i szczerą—jest wielką potęgą w sercu niewieście: napędza je ona wielką otuchą i ufnością w miłosierdzie Boże, unosi na skrzydłach gorącej i ufnej modlitwy — a takich modłów zawsze Bóg wysłuchuje. Czuje tę ufność w sercu swem dziewczyna, chociaż chwilami przejmują ją dreszcze śmiertelnej obawy, wie ona bowiem, że „nie pytają na wojnie o to, kto ginie,—czy jest sercem ludzkim drogi, czy płacz siostry za nim płynie, czy umiera matka z trwogi...“ Myśl ta jest głębszym wnikiem w losy ludzkie, cechującym refleksyjny nastrój umysłu poety. Trwogę swoją wreszcie stara się przytłumić dziewczyna rzewną modlitwą do Najświętszej Panny:

„Spójrzyj na nas Ty, Panienko
Przeczysła!...
I nad serca jego męką
Ty się zlituj—o Gwiazdźdista
Niebieskiego dnia jutrzeńko!
Osłoń jego Swoją ręką,
Przeczysła!...“

Obok tych typów sympatycznych i dodatnich spotykamy w poezjach lirycznych Asnyka postacie niewieście ujemne, dalekie pod względem moralnym od idealnego pierwowzoru, jaki poeta nosił w swem sercu. Nie mógł się z nimi nie spotkać w swem życiu, bo postacie takie—niestety—istnieją w istocie. Może niektóre z nich brakiem głębszego uczucia i czczą pustką duchową drasnęły boleśnie osobiste uczucia poety—częściej jednak boleśnie nad nimi Asnyk, jako filozof i poeta refleksyjny, który śledzi wszelkie wewnętrzne objawy życia społecznego i którego obniżenie poziomu moralnego w społeczeństwie i zanik uczuć szlachetniejszych i głębszych prawdziwie boli i smuci. W jednym ze swych dłuższych utworów (p. t. „Poeci do publiczności“) gromi on jawnie przedstawicieli obu płci—męskiej i żeńskiej—za to wystudzenie duszy i serce z uczuć gorętszych i trwalszych,—my tu jednak przytoczymy tylko jego wyrazy, zwrócone do kobiet, jako tyjące się niepośrednio omawianej przez nas kwestyi. „Nasze kobiety—mówi El-y—są w *sentymencie* ubrane po kostki,“ zaznaczając tem tę sztuczną sentymentalność, w jaką nieraz stroją się nasze panie, wiedząc, że z tem im do twarzy, bez żadnego jednak współdziałania serca. Poezyę—jako wykwit i wyraz szczerych uczuć—„lubią one *zajadać na wety*“, nie widzą w niej słowem skarbnicy uczucia, jaką jest w istocie, lecz jedynie chwilową estetyczną rozrywkę. Lubią także—dodaje poeta—„bawić się w miłości,“ które są tylko przyjemnym „pour passer le temps,“ i w które wcale nie potrzeba wkładać serca. Brak im za to—jak się wyraża poeta „jednej *miłości*“—a w istocie rzeczy najważniejszej, mianowicie: „*prawdy* w uczuciu.“ Użalając się na ten brak wielkiej miłości, na tę niezdolność ich serca do uczuć głębokich i trwałych, przyrównywa je poeta do „norymberskich lalek, które, w balowej sukni na wystawach stoją i z pochyloną romantycznie główką czekają na kupca, co płaci—gotówką.“

W charakterze moralnym owych typów ujemnych są pewne różnice i odcienie,—i chociaż tło w nich wszystkich jest ogólne—a jest niem ogólny brak szczerości i prawdy w uczuciu—przejawy wszakże tego braku oraz stosunek ich do świata zewnętrznego jest różny. Wybierzmy więc parę z tych postaci i przypatrzmy się im zbliska. Oto w wierszu „Niezapadki kwiecie“ widzimy dwoje młodych w chwili rozłąki. Dziewczę, żegnając lubego chłopca, którego zapewnia o swej miłości, podaje kwiatek niezabudki i mówi doń, kryjąc twarz: „Luby! wrócisz przecie? ja cię czekam... wtedy dasz niezabudki kwiecie.“

Wziął jej uroczy sen, niechże weźmie i ten lżawy kwiatek i niech pomni na jej oczy, jasne, jak te właśnie niezabudki. Zaklina go zatem temi słowy: „kiedy smutek cię przemoże, gdy cię złamie ból—porzuć góry, porzuć morze, wracaj do tych pól,“ a ona wówczas złoży swoją skroń na jego piersi, uspokoi go i uciszy. Gdybyś zaś—mówi mu dalej dziewczę—„błądził w świecie i po przejściu burz znalazł dziś ci mile dziecię w cichym grobie już“—to błaga go, aby poszedł wówczas na jej grób i „spełniając dawny ślub“ rzucił na mogiłę kwiat niezabudki. Odjechał więc młodzieniec w świat szeroki, mijają dnie i nadszedł wreszcie „smutku dzień“: pierzchyły wszystkie ideały jego i pozostał mu wierny tylko mały kwiatek a z nim „pamięć lepszych dni.“ Więc chociaż życie lało w jego serce truciznę, on szedł przecie „uśmiechnięty—bo wierzyłem jej.“ Raz mu przysnił się sen proroczy: „że ją widzę tuż; ma zamknięte martwo oczy, wieniec z białych róż, drżące rączki trzyma w krzyż... Pewny że sen ów wróży śmierć jego ukochanej, zerwał się i w bólu „jak szalony“ popędził „w znane strony, do rodzinnych pól.“ I oto zbliżał się do łąki nad strumieniem, gdzie ona niegdyś rwała i dawała mu kwiaty—ujrzał dwoje, jak zrywają drogie mu przed kwiaty; ona skryła swoją twarz w płaszczu młodzieńca, wreszcie ona odwróciła swoją twarz... i nieszczęśliwy poznał, że to ona, że to dawna jego ukochana... Wkrótce wyszła za mąż za młodzieńca, a dawny jej kochanek „na pamięci znak na weselu wpiął w frak niezabudki kwiecie i zrozpaczony jej wiarołomstwem przestał odtąd wierzyć w sny i w niezabudki.“

W wierszu p. t. „Scherzo“ widzimy „smutnego Janka“, który ciągle w oknie siedzi wyglądając napróżno wieści od swej lubej, do której posłał był list przez gołębia. Już sześć miesięcy napróżno w oknie strawił, wychudł i wynędzniał, dręczony okropnym niepokojem i trwogą o los kochanki. „Pytaniami wszystkich nudzi i zaczepia co dnia ptaki, chmury, nawet ludzi, każdego przechodnia.“ Wszystkich pyta czy nie widzieli, lub czy nie słyszeli gdzie w świecie o jego lubej, lecz wszyscy tylko się zeń śmieją, a on „żywi się nadzieją, coraz bardziej chudnie“. Siedząc tak raz wieczorem w oknie, ujrzął, że z za chmurki wypląwa srebrny księżyc. „O mój stary przyjacielu—woła doń Janek—zbiegłeś tyle drogi“, widziałeś cały świat prawie, powiedz mi, czyś nie widział gdzie mojej ukochanej? Niech się przynajmniej dowiem, czy zdrowa, czy nie cierpi wiele, „powiedz czy jest żywa? oddam wszystko co posiadam za tę wieść szczęśliwą“!... Księżyc mu odpowiada, że jest mu miło, że może go pocieszyć wieścią o dziewczynie: „szedłem właśnie mimochodem, mówi mu, w tamtej stronie zrana i widziałem, jak ogrodem szła twa ukochana“. Przy niej szedł ładny chłopiec, do którego uśmiechała się mile i słodko, potem wydobyła z kieszeni list Janka, mówiła coś tamtemu do uszka, wreszcie siedli oboje pod drzewem i dziewczyna ze śmiechem list podarła... Usłysawszy to Janek zawołał z gniewem: bodajby umarła o niegodna! o zdradliwa! tak mnie zwiesz szkaradnie!... I począł wylewać przed księżycem skargi swe i żale na niewierną, lecz srebrny staruszek znudził się i schował się za chmurki. Cały wiersz trzymający jest w tonie żartobliwym, dziwnie lekkim i wdzięcznym, który niepodobna było utrzymać przy streszczeniu, po przez żartobliwy jednak ton opowiadania można dosłyszeć echa lekkiej ironii i sarkazmu samego poety względem niestałości uczucia w sercach młodocianych.

Taką też gorzką ironią jest zaprawna „prestroga,“ jaką daje poeta młodzieńczej dziewczęce. „Ty, lube dziewczę—mówi do niej—masz duszę tkliwą, co się pięknnością wszelką zachwyca... nie idź jednak za pierwszym popędem twego serca, nie powoduj się w życiu uczuciem tylko; jeśli chcesz być szczęśliwą—,to zamąż idź za szlachcica“. Odradza jej, by poetycznego nie brała kochanka, bo „poetyza w życiu—to ból i troski“; jest przedewszystkiem szlachcianką—trzeba więc jej wraz z mężem i wioski.

Pochwała więc jej matkę, która łamie „idealny kapryśnik“ córki i każe jej oddać rękę bogatemu szlachcicowi, który zapewni jej dostatek. Wreszcie jej samej wróży, że śmiać się będzie kiedyś „z dziecinnych marzeń“, skoro troszeczkę utyje, i jadąc na bal w poczwórnej karecie wdzięczną będzie swej matce, że zaślubiła wórek ze złotem, dawszy odkosza pocieć. I w tym również wierszu chociaż nazywa poeta radę matki „rozsądną“, chociaż szczerze i serdeczne uczucia dziewczęcego serca mianuje „dziecinny miarzeniem“, czuć wszakże, że mówi to przez gryzącą ironię i ból, jaki wzbudza w nim widok poświęcania nieraz najgłębszych i najszlachetniejszych marzeń dla materialnych dostatków i względów światowych.

Nie będziemy przytaczali innych jeszcze wierszy, snuty na ten sam motyw niestałości uczucia serc dziewczęcych, których to wierszy jest jeszcze wśród liryków El-ego wiele. Wszystkie one przedstawiają tylko pewne odcienie tej zmienności i lekkości uczucia, jakie w głównych rysach poznaliśmy już powyżej. Przypatrzmy się jeszcze tylko jednej postaci odmiennej, postaci damy wielkoświatowej, pod względem moralnym należącej również do ujemnych typów kobiecych w poezjach Asnyka. Widzimy ją przed sobą w sonecie p. t. „Niezręczny“—w salonie, spotykającą po wielu latach niewiedzenia mężczyznę, z którym widocznie łączyły ją kiedyś uczucia serdeczniejsze. Spostrzegłszy zmieszanie i onieśmienie tego, który ją dawniej ubóstwiał a i teraz kochać nie przestał—„chciała przyjść w pomoc i pierwsza z uśmiechem zadała jakieś zwyczajne pytanie“. Młodzieniec, pragnąc jej odpowiedzieć, zwrócił się z pośpiechem, lecz zaplątał się w jej sukni i urwał z niej kawał falbany. Wszakże ta niezgrabność zamiast zaszkodzić mu w oczach pięknej kobiety, pomogła mu raczej i „nastąpiła zgoda pomiędzy sercem wdówki“ i niezręcznego poety. Odtąd widywali się często; on jej przynosił bukiety kwiatów, i wdychał ciągle—„na co—mówi ironicznie poeta—szkoda czasu“, i dodaje następnie parę wierszy, charakteryzujących nicość moralną „wdówki“:—„więc ją mógł widzieć drżącą i wzruszoną; ale w tem samem został oddaleni, gdyż bał się suknię nadeptać—niezręczny!“ Taką jest galerja postaci niewieściech, wyprawdzonych przez El-ego w jego lirykach. Widzimy, że wśród nich sporo jest postaci mniej lub więcej ujemnych. Chociaż kreślone przeważnie sylwetkowo, nieraz paru rysami jedynie, chociaż mogą się wydawać niedość pogłębione, zawsze jednak poeta dozwala nam zajrzeć do głębi ich serca, na dnie którego czasami zakwita świeży kwiat szczerego uczucia, częściej jednak widzimy zupełną czczość i pustkę, uczucie wyziębione lub rozrzucone na drobne miłości. Inną grupę stanowią postacie kobiet, występujących w dramatach Asnyka, tam bowiem poeta rozwija przed nami wewnętrzne procesy psychiczne swoich kreacji. Postaramy się zaznajomić z nimi naszych czytelników innym razem, w osobnym zarysie, poświęconym twórczości Asnyka dramatycznej, teraz zaś przysłuchajmy się własnemu uczuciu poety, o ile ono znalazło dla siebie wyraz w jego poezjach lirycznych.

Że uczucie miłości, tak silne w sercu każdego człowieka, odegrywało zapewne nieraz ważną rolę w życiu naszego poety o tem niemamy powodów wątpić. Owszem, w jego lirykach nie jednokrotnie odzywa się ta struna, czy to jako wyraz porywającego serce w tej chwili uczucia, już to jako dalekie, a zawsze smutne echo uczuć rozwianych i zwiędłych. Tak np. w wierszu „Stokrotki“ żałuje poeta tych chwil niepowrotnych młodości, kiedy pospolity kwiatek stokrotki budził w jego sercu „dziecinne zachwyty“; wówczas bowiem—mówi dalej: „długie majowe wieczory spędzałem, patrząc w *jasnych oczach błękity, cichego szczęścia pelen i pokory*, bijący sercem a nigdy nie syty“... Wyznaje, że się wówczas „z prawdą marzeń nie rachował“, czuł bowiem wówczas „serce rozkoszą nieprzytomne“ i w końcu dodaje: „kiedym usta różane całował, tom nic nie pragnął i nic nie żałował—i *dziś drzę jeszcze, gdy tę chwilę wspomnę*“... Było to

pierwsze — szczerze i głębokie uczucie w sercu poety. Później — jak sam to wyznaje — widział wiele „kwiatów egzotycznych“ i poznał dużo „heroin poetycznych, niosących uśmiech, łzy i serca w dłoni“... Lecz nigdy się już nie spotkał z tem upojeniem „co jedno drogę do szczęścia otwiera“, z upojeniem podobnym temu, jakie mu dały w dniach młodości skromne stokrotki. W wierszu tym dźwięczy tak szczerzy żal za rozwianem dawno uczuciem, że niepodobna wątpić o tem, że serce poety było bardzo wrażliwe i spragnione uczuć głębokich i tkliwych. Nie powinna nas zwodzić co do tego ironia, tak często spotykana w lirykach Asnyka: jest to bowiem tylko płaszcz z szychu, którym okrywa poeta rany swojego serca. Niepowinien nas zwieść taki np. „Karmelkowy wiersz“, w którym poeta mówi, że dawniej, będąc młodym i wierząc, że „nie wyszło jeszcze z mody myśleć i czuć i że trocha serca kobiecie świetnej kariery na świecie nie może psuć“ wysnuwał z głębi serca pełne uczucia wiersze; dziś za to, poznawszy na wylot „komedię salonu“, wie, że „z serca pożytek nie wielki“ — więc ma dla dam — w zapasie karmelkowe wiersze.

Za to głębokiem i szczerem uczuciem jest nacechowany wiersz „Uwielbienie“, w którym takie oto znajdujemy myśli i wyrazy: „Umarły jeszcze będę wielbić ciebie!... Boś ty mi była nie próżnem marzeniem, nie bańką tęczową zmysłów, lecz byłaś ducha ożywcem pragnieniem wiecznej miłości!... Nie kołysałaś mnie pieszczotą senną — lecz mi piękności dałaś pożądanie — moc nieskończoną!... Jest to głęboka myśl o uszlachetniającej potędze miłości wielkiej, która podnosi ducha i stawia go na ponadziemskie wyżyny, myśl tak wysoka i pięknie wyrażona, jakgdyby wyszła z ust Zyg. Krasińskiego, z którym nasz poeta posiadał bezwątpienia pewne pokrewieństwo duchowe.

Zakończymy wreszcie niniejszy zarys wspinałym hymnem, jaki wyśpiewał poeta na cześć uczuć altruistycznych, przekazując sercom bratnim wszystkie pragnienia i nieziszczone sny swojego własnego serca:

„Ucisz się serce! — swoich strat
Już nie oplakuj, stroskane;
Ale wschodzący pozdrów świat
I jego jutrznie różane.

Błogosław nowym życia dniom,
Temu, co wschodzi i rośnie,
Świeżym nadziejom, świeżym snom,
Świeżej młodości i wiosni!..

Szczęście, za którym dzisiaj ty
Napróżno tęsknisz i czekasz,
I nieziszczone wszystkie sny,
Wszystkie pragnienia — im przekazał!..

A snuć się będzie złota nić
Chociaż ty spoczniesz w mogile“...
St. Ostrowski.

NIE MÓWCIE MI.

Nie mówcie mi, że zgasną blaski słońca,
Że mroki nocy wnet spowiją ziemię...
Ja chcę się łudzić... łudzić się bez końca!
Niech rzeczywistość straszna w dali drzemie!
W złudzenie zawsze byłem tak bogaty,
Że nawet nie wiem dziś, gdzie prawda tkwi...
Że zwiędną wkrótce moich złudzeń kwiaty —
Nie mówcie mi!

Promienna gwiazda wiodła mnie życie,
Swym blaskiem olśniewając moje oczy...
Jej światło nigdy nie gaśnie o świecie...
Ani ją chmura ni zawieja mroczy!

I wiodła mnie dotychczas w przyszłość jasną,
I blask jej cudny wciąż przedemną stoi...

Lecz, że promienie jej niebawem zgasną —

Nie mówcie mi!

Niby przed bóstwem ja się przed nią giałem,

I niewolnika swego miała we mnie,

Kiedy w zachwycie, z pochylonem czołem,

Jej czarem upajałem się tajemnie...

Lecz jedno słówko wyszeptane w szale

Zburzyło urok najpiękniejszych dni...
O tem, że one nie powrócą wcale —

Nie mówcie mi!

Nie pragnę, aby prawdy dech okrutny

Najroskoszniejsze rozwiać miał obrazy,

Którymi żądze mojej duszy smutnej

Ja upajałem w życiu tyle razy....

Więc kiedy usnąć będę miał na wieki,

Niech nawet wtedy o niej serce śni...
Że w raj nieznany idę i daleki —

Nie mówcie mi!

Władysław Nawrocki.

BEZ TYTUŁU.

Powieść współczesna

przez

Stanisława Ostrowskiego.

W pewien wieczór czerwcowy wesoło i gwar-
no było w jednej z restauracyj przy Krakow-
skim Przedmieściu. W bocznym gabinecie przez
szeroko roztworzone okna wpływa nieco chłod-
niejsze i świeższe powietrze, odświeżając at-
mosferę parną, przesyconą dymem tytoniowym
i kulinarnemi wyziewami. Przy okrągłym stole
zebrało się grono młodzieży, wczorajszych je-
szcze studentów i kolegów, pragnąc po raz osta-
tni może uczestniczyć we wspólnej biesiadzie.
Zeszli się tu jeszcze raz podzielić się wspomnie-
niami kilku lat wspólnie przeżytych, pochwalić
się przed sobą nawzajem nadziejami i projekta-
mi na przyszłość — i pożegnać się. Zresztą ogólny
nastroj jest raczej wesoły, niż pożegnalnie
smutny. Na wszystkich tych twarzach młodych,
znużonych pracą przedegzaminową, wybladłych
brakiem ruchu, a nieraz może brakiem należy-
tego odżywiania się — widać teraz ożywienie i we-
solałość. Na niejednej też znać zapal do pracy,
ufność w swe siły, gorącą chęć podźwignięcia
na barkach odczo tego ciężaru, jaki jutro mo-
że włożyć na nie życie; znać młodzieńczą energię
i szczerą ochotę pracowania dla szczęścia wła-
snego i dla dobra społeczeństwa. Dzień jutrzej-
szy może bruzdami poryć te pogodne czoła, mo-
że troską zasępć wzrok jasny; dziś jednak spo-
kojna ufność i wesołość bije z każdej twarzy,
z każdego spojrzenia.

Właśnie młody, pucułowaty blondyn, usado-
wiony wygodnie na kanapie między przystoj-
nym brunetem i innym, bardzo chudym i wyso-
kim kolegą, kończył opowiadanie jakiegoś za-
bawnego epizodu z ostatniego egzaminu z prawa
karnego. Całe gremium wtórzyło opowiadaniu
wybuchami szczerego śmiechu, nie wyłączając
opowiadającego, którego okrągłe oblicze drga-
ło od śmiechu i okrywało się obficie kropla-
mi potu; ocierał je zamaszycie kolorową chust-
ką, którą co chwila wyjmował z bocznej kiesze-
ni tużurka, bawiąc dalej kolegów zasobem we-
solych wspomnień i własnego humoru.

Po nowym wybuchu wesołości, jaki sprowa-
dziło zakończenie opowieści przez blondyna,
odezwał się któryś ze słuchaczy:

— Wesołe bywały chwile w tej naszej poczi-
wej „budzie!...“ A jednak dobrze, że się to już
skończyło. Człowiek orał jak wół — a jadł tyle
nieraz, co zając. Może teraz stosunek się odmie-
ni, albo przynajmniej unormuje dokładniej.
Śmiech i humor nie napełnią żołądka; dobre to
po obfitej kolacyi i pewnie nie im to zawdzię-
czas, mecenasku, swoją okrągłość i pulchność.

— Ha! różnie to bywało — odparł pucułowaty
blondyn, przewany „mecenaskiem“ — czasem
miewało się na kolacyę cały wianek parówek,
czasem zaś — tu starał się westchnąć melancholi-
cznie — czasem trzeba było poprzestać na innej
parze — idealniejszej: na humorze i śmiechu. One
mię broniły szczęśliwie od głodowej śmierci.

— Chyba najdalej od niej byłeś z nas wszyst-
kich — zauważył, śmiejąc się, żywy brunecik,
o nastroszonych wąsikach i bujnej czuprynie —
bo w braku parówek i innych specyaliów, mógł-
byś przez całą zimę ssać jak niedźwiedź swą
pulchną łapę i nietylkobys nie umarł z głodu,
ale nawet nie wychudłbyś bardzo — o to się za-
łożę.

Blondyn, przewany „mecenaskiem“, spojrział
mimowolnie z wyrazem wdzięcznego zadowole-
nia na swoją dłoń, spoczywającą na stole, w isto-
cie olbrzymią i pulchną, o krótkich palcach,
z których jeden ściśnięty był niemilosiernie
pierscionkiem, zdjętym widocznie z dużo dro-
bniejszej ręki.

Dostrzegł go sąsiad z prawej strony.

— Oho! — zawołał — mecenasek się żeni!... Toś
ty, baryło oliwna, tań to przed nami?... Kiedyż
ślub?...

— Zkądże znów, zkądże!... — tłumaczył się
zmieszany nieco, lecz niezadowolony i rozpro-
mieniony „mecenasek.“ Nie tailem się z tem
przed wami wcale, ale dopiero od dziś jestem
zareczony. Co do ślubu — to jeszcze rzecz bar-
dzo oddalona. Narzeczona moja ma dopiero lat
szesnaście, a ja powiedziałem sobie, że nie prę-
dze się ożenię, aż będę miał dwanaście tysięcy
rocznego dochodu.

— Pycha! — zawołał żywy brunecik — skro-
mniutkie żądania!... ja to zadowolę się i paru ty-
siącami, i sądzę, że moja przyszła nie będzie po-
trzebowała zawijać rękawów do kuchni, ani
chodzić w dziurawych trzewikach.

— Zdaje się, że jest tu między nami ktoś —
zauważył prawnik, który nie zdjął jeszcze był
z siebie studenckiego, mocno wyszarzanego
mundurka — kto się utrzymuje z żoną ze środ-
ków jeszcze szczuplejszych i jakoś radził sobie
dotąd w „budzie“, „nieprawdaż Wacku?

Zapytany — mocny brunet w okularach, z du-
żą brodą i o energicznym wyrazie twarzy, spoj-
rzał na pytającego i odrzekł poważnie:

— Masz słusność, Henryku. Ożeniłem się je-
szcze będąc studentem, bez posagu, mając środ-
ki mało co większe od tych, jakie każdy z was
dotąd posiadał. Żyjemy wprawdzie z żoną bar-
dzo skromnie, lecz nie w niedostatku ani w nę-
dzy, chociaż wydajemy na życie mniej, niżby-
ście sądzili.

— Ileż — naprzykład? Ileż — zapytało się kilka
głosów.

— Pięćdziesiąt rubli.

— Jak to? Prowadzisz cały dom za pięćdzie-
siąt rubli na miesiąc? Nie może być!...

Powstało zainteresowanie się ogólne. Kwestya
minimum dochodu, niezbędnego dla utrzymania
rodziny w Warszawie, była dla tych młodych
serc kwestyą najbliższą, a dla głów najbardziej
zawila. Niejeden z nich wdychał pokrywom do
szczęścia przy ognisku rodzinnem, lecz posiada-
jąc nader szczupłe środki, lub nie posiadając
prawie żadnych, nie znając przytem bliżej ży-
cia, jak większość naszej świeżo wychodzącej ze
szkół, niepraktycznej młodzieży — widział speł-
nienie swych najgorętszych marzeń odsuniętem
w oddaloną przyszłość. Słowa więc Wacława
zainteresowały wszystkich.

— Nie wierzycie mi? — zapytał ten, z lekkim
na ustach uśmiechem, który ożywił na chwilę
jego poważną zwykle i spokojną twarz; — chce-
cie, bym się wyliczył przed wami? — dobrze.
Więc słuchajcie: zajmuję skromne, ale czyste
i wesołe dwa pokoiki z kuchenką, za które ko-

mornego płacę rubli dwadzieścia dwa i kopiejek pięćdziesiąt. Służąca bierze pięć rubli, żona nigdy nie chce wziąć więcej ode mnie nad 50 kop. na obiad, zna się wprawdzie sama na kuchni i często służącą dogląda: mamy codziennie trzy niewymyślne co prawda, lecz smaczne i zdrowe potrawy i zaręczam wam, że wszystko troje—to jest żona moja, ja i służąca nigdy nie jesteśmy głodni. Mleko, herbata, cukier, bułki — wynosi to jakieś 5 do 6 rubli, parę wreszcie rubli na niespodziewane wydatki — i oto macie w sumie pięćdziesiąt rubli. Nie rachuję naturalnie w to odzienia, ani też przyjemności; ale utrzymać się żyć za rubli pięćdziesiąt, widzicie, że można. Zresztą kilka jeszcze rubli miesięcznie na teatr lub na cukiernię zarobić zawsze można, byle tylko chcieć i nie być safandulskim.

— Masz słuszność! Ależ to zupełną masz słuszność! — zawołał w pół poważnie, w pół żartobliwie mały brunecik z nasróżonemi wąsikami i z bujną czupryną—jutro się żenię!...

— Z kim?

— Hm! z kim?... Prawda—nie mam narzeczonej! W pierwszej chwili uniesienia, pod wrażeniem słów Wacka, zapomniałem o tem zupełnie. Ależ nasz gród syreni—jak czarodziejski ogród—jest pełen żywych kwiatów; chodzi więc tylko o wybór, a to mniejsza—bo decyduję się szybko.

— Ażłota wolność kawalerska i niezależność? Także byś się jej lekkim wyrzekł sercem dla więzów hymenu, jak Ezaw swego pierworodztwa dla misy soczewicy?

— Zartujcie sobie, chłopcy — odezwał się poważnie Waclaw — a jednak dotykacie kwestyi w życiu jednej z najpoważniejszych. Czem jest bowiem w istocie owa złota wolność?... Nie jesteśmy już dziećmi przecie, powinniśmy się więc zdobyć na odwagę określenia jej i ocenienia według istotnej wartości. Nasza „wolność“ — to ciągle dobrowolne ludzenie się i oszukiwanie własnego serca, spragnionego podziału uczuć gorętszych i głębszych, zamiast których dajemy mu mdłą strawę wrażeń przelotnych i nieraz mętnych; to marne włóczęgostwo myśli i uczuć, w którym wyjalawia się serce i zamiast pełni uczuć, powstaje w niem czerzość nienasycona i pustka nieznośna. W końcu tyle ceniona „złota wolność“ staje się najgorszą niewolą nudy lub przesytu. Wybaczcie mi, że słowa te zdają się mieć poniekąd ton mentorski. Jesteśmy tu wszyscy spółkoledzy i sobie równi, ja jestem tylko o parę lat starszy i więcej od was przeszedłem już w życiu; jestem wreszcie tu jeden tylko pośród was żonaty i choćby tylko dla tego mam jaśniejszy pogląd na kwestyę, która nas w tej chwili zajmuje. Wierście mi — jako starszemu bratu, a ja mówię wam szczerze: gdy tylko spotkacie dziewczynę, która szczerze pokocha was dla was samych i wy ją nawzajem pokochacie — bierzcie ją bez namysłu, wahania i obawy o przyszłość. Bierzcie ją — choćby nie miała nic, oprócz tego bijącego dla was serca, bierzcie ją — choćbyście nic nie mieli, oprócz młodej głowy i rąk rwących się do pracy... Nie zginięcie z głodu — bądźcie pewni. Siły — i młodość — i zapał, jaki macie, wystarczą wam aż nadto do zarobienia na chleb powszedni, a uczucie — jeśli będzie głębokie i szczerze — będzie nieślychaną dźwignią w walce życiowej, dźwignią potężną, jakiej nigdy już potem nie znajdziecie. Łatwiej wam będzie teraz utrzymać się z pięćdziesięciu rubli, niż po latach z tysiąca, gdy siły osłabną, a serce wasze wychłodnie. Możecie mi wierzyć, bo mówię to, co czuję i com już sam doświadczył w życiu.

Mówił te wyrazy z zapałem, lecz zarazem z powagą i spokojem człowieka, głęboko przekonanego o prawdziwości słów swoich. Mówił je przytem z serdecznym ciepłem człowieka dobrej woli, który sam posiadał szczęśliwą prawdę i chciałby ją przelać i wszczepić w serca drogich dla siebie osób. Może ten właśnie ciepły ton jego mowy sprawił, iż słowa jego z wnikającą potęgą weszły do serc i umysłów słuchaczy. Nastroj ogólny się zmienił; żartująca przed chwilą młodzież zamyśliła się i spoważniała. Nawet zawsze błoga, uśmiechnięta twarz „mecenaska“, dogryzającego właśnie smakowicie porcyę kureczęcia,

nabrała poważniejszego, jakby frasobliwszego wyrazu: może przekonany słowami Wacka co do potęgi uczucia, rozważał, ile mógłby odstąpić ze swego minimum dwunastu tysięcy, niezbędnych dla pojęcia żony w Warszawie. Owoc tych rozmyślań, którego wyrazem było przytłumione westchnienie, czy też sapnięcie, wydobywające się z ust przepełnionych pulardą, pozostał — na teraz przynajmniej — niewiadomym dla współkoledgów.

— Iluż nas opuszcza Warszawę i kto wyjeżdża najwcześniej — zapytał po chwili żywy brunecik.

— Podobno, że ja najpierwszy — odezwał się smukły, o matowej twarzy brunet, który dotąd siedział w milczeniu i z uwagą przysłuchiwał się słowom Waclawa. — Pociąg odchodzi po dwunastej — dodał, spoglądając na zegarek — za godzinę muszę już być na dworcu kolei Terespołskiej. Mam już rzeczy spakowane do drogi.

— Pan hrabia wyjeżdża do swych dóbr podolskich — odezwał się, akcentując ironicznie wyraz „hrabia“, młody, tęgi blondyn, zdradzający w zaniedbanym umyślnie stroju i rozwichrzoną płową czupryną, swoje przekonania demokratyczne.

Wyraz ten „hrabia“, a bardziej akcent, z jakim został wyrzeczony, drasnął widocznie bruneta. Między ciemnymi, w półkole zarysowanymi brwiami, ukazała się lekka, pionowa zmarszka, lecz znikła w tej chwili. Nie sympatyzowali ze sobą bardzo nigdy obaj koledzy; brunet nie chciał jednak zamącać pogodnego nastroju uczyty pożegnanej, nie odrzekł więc nic.

— Ej! puść już dziś kantem banhof i swoją drogę — odezwał się któryś z kolegów — i zostań z nami do końca. Kto wie, Władku, kiedy i gdzie się spotkamy, a jutro równie dobrze jak i dziś wyjechać możesz do domu.

— Nie mogę — moi kochani, odłożyć wyjazdu nawet do jutra, pisałem już bowiem, prosząc o konie na pojutrze, a niepodobna, aby człowiek z końmi czekał na mnie całą dobę na stacyi, oddalonej od nas o wiorst kilkadziesiąt. Miło mi tu z wami, i dla tego, że wiedziałem, że będę was musiał opuścić wcześniej, przyszedłem dziś tu jeden z pierwszych.

— No, to obejmijmy wyjazd Władka! — zawołał Henryk, sięgając po butelkę piwa. Butelka była próżna; młody prawnik sięgnął więc po drugą, napełnił z niej swoją szklankę i dolał sąsiadowi. Inni poszli za jego przykładem — lecz butelki już były prawie powyprowadzone i szklanki pozostały nalané tylko w części.

Zauważył to Władysław.

— Garson! — zawołał.

Czatuający na progu lokaj zbliżył się do stołu.

— Roederer jest? mrożony dobrze?

— Jest, proszę pana — i zniknął za drzwiami.

Po kilku chwilach zielonawy płyn błyskał i iskrzył się srebrną pianą w wydłużonych kieliszkach. Pito „strzemiennego“ dla Władysława.

— *Pycha!* — wołał żywy brunecik, ciągnąc z wolna z kieliszka płyn kwaskowo-słodki, — ależ ty się, Władku *rozbijasz!* Nie dojedziesz w ten sposób jeszcze do domu!

— Nie ma obawy! — odparł, uśmiechając się z lekka Władysław. — Bilet kolei kosztuje niedrogo; zresztą nie jeżdżę klasą pierwszą.

— Szczęśliwy!... Za parę dni będziesz na łonie przyrody!... A my chyba usmażemy się tu na tem gorącu.

— I ja wyjeżdżam za dni kilka z Warszawy — odezwał się długi i chudy prawnik, mający wygląd wiecznie zgłodniałego. — Wyobraźcie sobie, dostałem niespodzianie pyszną „konkę“ na wsi, za sto rubli, wikt i całe utrzymanie. Toż to „będę używał“ na wszelkich serach, jajach i zsiadłem mleku!...

— Za to na tobie, nieboraku, wiejskie „insekta“ nic a nic nie użyją, bo już chyba krwi kropli w tobie nie znajdują — zadowolękował żywy brunecik, czyniąc aluzyę do bladej, bezkrwistej twarzy kolegi.

— A my tu zostajemy na bruku — odezwał się Henryk, zwracając się do najbliższych swych sąsiadów. — Ja mam tu jeszcze parę dawniejszych „korek“, których opuścić nie mogę, bo moi mal-

cy mają poprawkę po wakacyach. Zresztą, siedząc na miejscu, łatwiej się dopilnuje i schwyje pierwszą wakuującą posadę. A ty, Mieczku?

— Ja mam już od jutra posadę u adwokata Z. na razie trzydzieści pięć rubli, no — i dochody jednorazowe. Po kilku zaś miesiącach mam przyrzeczony awans.

— Robota się znajdzie, tylko na razie strasznie „orać“ trzeba; później jedna i druga sprawa dobrze poprowadzona i wygrana — i rozgłos, praktyka coraz rozleglejsza — i kawał chleba pewny.

— Przytem uczeiwie i szlachetnie zapracowany — odezwał się Waclaw — nieprzepojony niczymi łzami, ani osolony niczyją krzywdą!... Pamiętajcie o tem chłopcy — tu powstał nad stołem i głos podniósł: — to nasze hasło: „praca i prawda!“ Bracia! przysięgnijmy tu sobie bronić tylko sprawy jasnej i czystej, nie maczać rąk nigdy w brudnej, nie podejmować się nigdy fałszywej lub podejrzaney! Bracia! — dla dobra społeczeństwa — i dla szczęścia własnego i naszych rodzin — przyrzeknijmy to sobie święcie!...

Głos jego — poważny i spokojny zazwyczaj — drżał teraz wzruszeniem... Wyciągnął rękę — do której zaczęli się cisnąć zewsząd koledzy, powstając z miejsc swoich, a on każdemu z nich dawał uścisk gorący i mocny — niby błogosławieństwo starszego brata.

Słychać było przez chwilę głosy szczerze brzmiące i wzruszone:

— Przyrzekamy święcie! przyrzekamy!...

Nastroj z żartobliwego i lekkiego stał się niespodzianie podniosłym. Zdawało się, że jakiś świeży powiew wonny wpłynął nagle przez otwarte okna do pokoju, że atmosfera oczyszcza się z dymu i rozjaśnia, a nad głowami tych młodzieńców wzruszonych, ślubujących sobie wytrwanie przy ideale prawdy w drodze życiowej, zawisło i unosiło się jakby ciche i niewidzialne lecz uprzytomniające się tym młodym sercom — błogosławieństwo.

Wreszcie ozwał się Władysław.

— No chłopcy, a teraz mnie pora! Mam niespełna godzinę do pociągu.

Zadzwoił na lokaja.

— Rachunek za wino?

Służący podał mu kartę papieru, Władysław spojrzął na cyfrę i znów przelotna zmarszczka przez jedną chwilę zarysowała się wśród brwi. Sięgnął do kieszeni i rzucił na tacę sztukę złotą; lokaj zaczął szukać po wszystkich swych kieszeniach reszty, lecz skinął mu ręką:

— Za fatygę!

I począł się żegnać.

Pożegnanie z obu stron było serdeczne, koleżeńskie. Uchodził wprawdzie Władysław pośród młodzieży za lekkoducha i „paniczyka“, miał jednak dobre i koleżeńskie serce, lubiono więc go prawie ogólnie. Można to było dostrzedz przy pożegnaniu: najprzód wpadł w pulchne ramiona „mecenaska“, i spocił się w nich gorąco, bo tłusciocich tulił go do siebie z jakimś niezwykłym u niego rozręwaniem, dusił go w uściskach i ślinił obficie po ałunkami. Od „mecenaska“ przeszedł do Waclawa, który uściskał go gorąco i mocno. Niemniej szczerze żegnał się z resztą współkoledgów. Nawet demokrata — Tadeusz, który nie opuszczał zwykle dotąd sposobności z manifestowania swojej lekceważącej pogardy dla swoich „hrabiów“ — teraz uściskał dłoń odjeżdżającego kolegi szorstko, ale szczerze.

— Czy powrócisz do Warszawy — i kiedy? — zapytał Henryk — czy będziesz gospodarował u siebie?

— Nie wiem, nic jeszcze nie wiem — odparł Władysław — nie wiem jeszcze sam, jak się urządzi!

— A pamiętaj — zawołał „mecenasek“ — jeśli spadnie na cię milionowy spadek z jakiej ciotecznej babki, żebyś mnie a nie komu innemu powierzył proces przeciw dalszym spadkobiercom, gdyby chcieli ciebie niesłusznie skrzywdzić. Ze wygramy — za to ci ręczę!

— Ależ naturalnie, tyłkobyś tobie go powierzył! — śmiał się Władysław — no, chłopcy, jeszcze raz pyska — do widzenia! Daj wam Boże szczęśliwie!

Uściśnął ich jeszcze raz w kolej i szybko wybiegł z pokoju.

Na ulicy świeżej było i jasno. Była właśnie pełnia i blask wielkiego, okrągłego miesiąca lał się srebrzystą falą z niebios bladawych i mniej wyiskrzonych gwiazdami, niż zwykle. Władysław szybko przechodził ulicę krokiem nierównym i nerwowym. Czuli się podnieconym ogromnie. Cały dzień spędził wśród gorączkowej ruchliwości, załatwiając pilne sprawy przed wyjazdem, porządkując i układając rzeczy do podróży; wieczór; spędzony w atmosferze dusznej i przesyconej narkotycznym dymem, kilka kieliszków wina, które mu zwykle szkodziło, wreszcie owa trema i obawa opóźnienia się na pociąg, jakiej zwykle doznają ludzie nerwowi—wszystko to jeszcze bardziej spotęgowało w nim uczucie jakiegoś gorączkowego niepokoju. Rzucił na bruk niedopalone cygaro, które czuł, że go jeszcze bardziej denerwuje—i przyspieszył kroku. Przypomnił sobie swoją dzisiejszą „fundę“ i uczył wrażenie niesmaku i niezadowolenia. Stanowczo przeholował: można było śmiało postawić parę butelek jakiego tańszego wina—koledzy byłiby równie zadowoleni, a on nie wpadłby w deficyt. Obliczał teraz czy mu starczy na drogę do domu.

Zadzwoił u bramy na stróża, wcisnął mu jakąś drobną monetę i kazał znieść rzeczy do dorożki. Przeskakując po parę stopni, przebiegł schody na drugie piętro i wpadł do swego pokoju. Rzeczy były już popakowane, ułożone w dwie niewielkie walizy i jeden kosz mniejszy, który miał zatrzymać w wagonie przy sobie. Stróż dwa razy wracał po rzeczy, zniósł je na dół, zawołał dorożkę i wspólnie z dorożkarzem zęczał je lokować na koźle i przednim siedzeniu. Władysław naglił obu: za pół godziny powinien był stanąć nadworce kolei Terespolskiej. Wreszcie dorożkarz, mając obiecaną sobie „napiwek“, zaciął konie i dorożka ruszyła ku Pradze.

Teraz dopiero uczył Władysław konkretnie, że opuszcza Warszawę. Wrażenie jednak, jakiego doznawał, wcale niemilem nie było. Jechał do domu, do stron bardzo kochanych i do osób drogich, wiedział zresztą, że po paru miesiącach będzie musiał powrócić do Warszawy na stałe. Miasta szczerze nie lubił: kiedyś — gdy przed kilku laty po raz pierwszy poznał Warszawę — zachwyciła go i oszłomiła; dziś — uprzykrzyła mu się i dokuczyla ogromnie. Będąc nadzwyczaj wrażliwym i nerwowym, poddawał się biernie temu życiu, tętniącemu gorączkowo i niespokojnie, jakim żyje stolica, tej fali ruchliwej i rwącej, unoszącej umysły i uczucia mieszkańców wielkiego miasta. Wprawiało go to w stan ciągłego natężenia nerwów, w stan bardzo nieznosny i fizycznie niemal bolesny, doprowadzający do niezwykłego znużenia, zupełnego prawie upadku sił duchowych i wszelkiej energii. Wewnątrz czuł wówczas zwiany bez śladu błękit i spokój duszy, zanik równowagi wewnętrznej, którą nauczył się cenić i której pożądał nieraz nade wszystko. Niejednokrotnie przyczyniała się do tego stanu jego własna lekkomyślność, brak woli, częste wreszcie kłopoty finansowe, chociaż bowiem otrzymywał z domu co miesiąc kwotę jak dla studenta wystarczającą aż nadto, lecz niepraktyczność i nałogowy niemal brak rachowania się stawiły go nieraz w sytuacjach bardzo dokuczliwych i przykrych. Wszystko to nie mogło uprzyjemnić mu pobytu w mieście i czyniło go nieraz w istocie bardzo nieszczęśliwym. Czuli się wplątany w te troski i gorycze, jak w błędne koło, z którego mógł go wyrwać tylko wyjazd do domu. Jadąc więc dorożką, myślał wprost z wielką radością i uspokojeniem, że się to wszystko kończy, a przynajmniej przerywa na długo, że jedzie do domu, na wieś, gdzie go otoczą piękne i ciche pola i lasy—nadewszystko ciche i spokojne. Czuli, że pobyt w domu, na świeżym powietrzu, przy osobach drogich, bez wszelkich trosk codziennych, da mu ogromny wypoczynek—fizyczny i duchowy zarówno, i czuli, że wypoczynek ten jest dlań bardzo pożądanym i wprost niezbędnym.

W tej cichej, jasnej, księżycowej nocy uprzytomniły mu się naraz tak żywo te ukochane okolice rodzinne i te nieporównane z niczem piękności wiejskich krajobrazów, tak mu do nich gorąco zadrzało serce, — że uczył nagle lęk ogromny, czy się nie spóźni do pociągu i nie będzie zmuszony jeszcze jeden dzień przebyć w mieście. Zaczął więc energicznie naglić dorożkarza, który w istocie, korzystając może z zamyslenia swego pana, zwolnił był szybkość rumaków. Dorożka potoczyła się żwawiej, a Władysław znów pomimowoli zaczął myśleć o wsi, o łąkach bardzo cichych, o spokojnych lasach i o pewnych głębokich, jasnych, także bardzo spokojnych oczach, czując, że na ich wspomnienie serce mu jeszcze żywiej zaczyna bić w piersi.

Dorożka zatrzymała się przed banhofem. Jeszcze kwadrans do odejścia pociągu. Władysław kupił bilet klasy II, wziął kwit na rzeczy i wszedł do wagonu. Niezadługo ozwała się gwizdawka, pociąg ruszył. Odetchnął dopiero teraz pełną pierś i powiedział sobie: no, już jadę! Spojrzał w okno: noc—przez grube szyby wydawała się ciemna; mógł jednak obserwować prawdziwie piękne zjawisko. Wzdłuż okien sypał się ognisty deszcz złotych i różowych iskier, wylatujących z pod lokomotywy. W przelocie iskry pozostawiały po sobie długi ślad ognisty, trwający parę sekund, tak, że wydawały się raczej długimi strzałami, różowymi lub złocistymi, o krwawych główkach. Chwilami powstawała cała zawierucha tych strzał kolorowych, falujących i przegajających w locie jedna drugą. Był to widok prawdziwie efektowny, tak często dający się obserwować z pociągu w noc wietrzną. W wagonie było duszno. Władysław wyszedł na zewnętrzny mostek i oparł się o żelazną balustradę, poddając z przyjemnością gorące czoło chłodzącemu powiewowi nocnego wiatru.

Na polach było widno. Księżyc w pełni powodział srebrzystych blasków zalewał te nagie rozległe równie, które w tem fantastycznym oświetleniu — pod mgłami wstającymi z trzęsawisk—przybierały pozór bardziej jeszcze senny i monotony, niż we dnie. Gdzie niedzie ciemniały kępy borów. Wiatr dość silny, zwiększony jeszcze szalonym pędem pociągu, zmusił wreszcie Władysława wejść do wagonu. Miejsca było dosyć. Rozlokował się na kanapce jak mógł najdogodniej i próbował usnąć, chociaż będąc silnie podnieconym nerwowo, czuli, że sen może nie przyjść wcale. Całodzienne jednak znużenie i ruch jednostajny pociągu wprawiły go w końcu w drzemkę.

Poranne słońce zastało go już na pomoście. Po nocy spędzonej w gorączkowym półśnie, który bardziej nuży niż pokrzepia, pragnął orzeźwić się i rozpatrzeć w okolicy. Był to smutny krajobraz Polesia, piaszczysty i równy, monotony i zalany wodą jeszcze bardziej, niż ten, jaki pożegnał wczoraj. Około południa pociąg wpadł w olbrzymie puszcze Sanguszkowskie, ciągnące się setkami wiorst wzdłuż, głucho i jakby zdręgnięte, w których ciemnofioletowe i szare pnie sosen wywołują w końcu senną i nudę. Dopiero ku wieczorowi krajobraz zaczął się zmieniać: grunt suchszy już i czarny począł falować lekko i garbić się w niewysokie, wdzięczne wzgórza zielone, połyskujące miejscami wapieniem i kredą. Tu i owdzie kędzierzawią się ładne laski dębowe, po sosnowych wyglądające dziwnie uroczo i wesoło. To już Wołyń! Pola śmiały się jaskrawą zielonością traw, łąny płynęły złotą falą zbóż dojrzwających. Od tych pól i łąk kwitnących, od dębowych lasów szedł tym cichym letnim wieczorem oddech szeroki i świeży, który wydał się Władysławowi słodkim jak balsam i wonnym jak powiew z raj. Chwytał go całą pierśią, pochłaniał, upajał się nim, czując jednocześnie, że wraz z tą strugą powietrzną wpływa weń zdrowie—i rzeźwość i cudowne niemal, ogromne ukojenie. Czuli, że ten powiew idzie od jego stron, od jego ziemi — i było mu tak właśnie, jak wędnącej i wątłej roślinie, gdy ją z obcego i niezdrowego gruntu przesadzą do świeżej i rodzinnej gleby. Orzeźwiał się, wypoczywał — i jak gdyby odradzał się do nowego, rozkosznego życia.

Długo tak stał na pomoście, wychylony poza poręczę, rozkoszując płucą tym lotnym balsamem, weseląc oczy pięknoscią Bożą tej ziemi. Pomdlały barwy słoneczne, zgasła już luna zachodu i zwolna księżyc wytożył okrągłe, zarumienione oblicze na pobladły saledyn niebios, — a on wciąż jeszcze stał — i patrzył — i wciąż poił swą pierś cudownym, błogiem powietrzem.

Układając się do snu w swym przedziale, myślał o tem, że jutrzejszy ranek obudzi go już w stronach rodzinnych — i serce mu przy tej myśli biło mocno.

(Dalszy ciąg nastąpi).

LISTY MARTY DO MARYI

przyczynek do kwestyi kobiecej

podług

Pawła Heysego.

skreśliła

S. W.

Listy poniżej zamieszczone otrzymałem z Anglii, wraz z zapytaniem osoby do której były pisane, czy nie jestem tego samego zdania co ona, a mianowicie, że ich wydrukowanie mogłoby się przydać tym, którzy słowem i piórem walczą o prawo wyższego wykształcenia dla kobiet. Wrazie gdybym podzielał jej zdanie, upoważnioną jest do zapewnienia mnie, że autorka listów nie byłaby przeciwną ogłoszeniu ich drukiem, chociaż pisząc je czyniła jedynie zadość chęci zwierzenia się przed przyjaciółką młodości.

Autorka listów stawia tylko dwa warunki: po pierwsze aby wydawca poprawił styl i niektóre, może niezbyt jasne wyrażenia, powtóre aby nie wyjawiał jej nazwiska i miejsca zamieszkania.

Zwrócić się do mnie posiadaczki owych listów z podobną propozycją, zawdzięczam żywemu zajęciu, jakie okazałem względem tego palącego zagadnienia w swem „Wielkopostem kazaniu“ na temat emancypacji kobiet, naówczas, kiedy dopiero zjawiały się słabe iskierki dzisiejszego pożaru. Żywi ona przytem nadzieję, iż zajęcie moje dotąd nie osłabło i że chętnie dołożę starań, aby zadość uczynić jej życzeniu.

Autorka nie zostanie zadowolona w swej nadziei. Wprawdzie zagadnienie, które stanowi treść tych listów, było już roztrząsane w niezliczonych utworach literackich, w książkach, broszurach i czasopismach; lecz ze względu że teoretyczne roztrząsania kwestyi za pomocą stawianych „za i przeciw“, prędko nużą, bardziej zaś przekonywająco oddziaływa postawienie przed oczyma żywego obrazu; poczytałem sobie za niemały zaszczyt, zajęcie się wydaniem tych listów, których jasnego, prostego stylu nie trzeba było poprawiać; rzucam tylko, stosownie do życzenia autorki, dyskretną zasłonę na jej nazwisko i stosunki domowe.

LIST I.

Marta do Maryi.

15 Września 189...

A więc to prawda. Rzeczywiście zdarzają się jeszcze cuda przy końcu tego niedowierzającego dziewiętnastego stulecia. Cuda, które można ująć ręką i do serca przycisnąć, jak przyjaźń młodociana, która przed ośmiu laty została pogrzebaną i napowrót zmartwychwstała? Tak jest moja ukochana jedyna Maryo, ta nasza dawna miłość naprawdę nie umarła! Ona się nam tylko gdzieś zapodziała, ale nigdy z serca

nie została wyrugowana, bawiła się z nami w „chowanego,“ i tak się dobrze skryła, iż w końcu sama do nas trafić nie mogła.

To pewna, mój stary skarbie, że nie brak serca u Twej Marty był powodem, iż zamilewała przed Tobą nawet o tej wielkiej nowinie, o swem zamążpójściu. Lecz mogłamże wiedzieć, z tracącemu całkowicie ślad o Tobie, gdzie ci posłać ową wesołą kartę z 9-iu krótkimi, ale miłymi słowami: Dr. Helmut i Marta z Körtingów Born zawarli związek małżeński. „Dopiero gdy cel swój osiągnę, dam znać o sobie, wyrzekłaś, gdyśmy się na dworcze kolei ostatni raz uściśnęły, rozstając się na długie lata.

Ja wraz z Tobą utraciłam połowę swego serca, a druga połowa, która mi pozostała, ciążyła mi jak ołów w osmnastoletniej piersi.

Ty miałaś przyszłość pełną trudu i pracy, twardą, lecz ożywiająca walkę z życiem, która wszystkie Twoje siły uskrzydliła, a ja zostawałam w wygodnym, próżniaczym życiu, mając jedynie tylko obowiązki dobrej córki względem kochających rodziców, którzy jednakże nie mieli wyobrażenia o potrzebach i pragnieniach swojego dziecka. Jakże ja często wtedy myślałam o mej serdecznej przyjaciółce i oburzałam się na nią, iż może tak ściśle dotrzymywać słowa i nie dawać znaku życia o sobie.

„Od dawna już musiała swój cel osiągnąć“ mówiłam sobie. Ale zapewne ma coś ważniejszego na myśli, niż pamięć o towarzysze lat szkolnych. Kto wie, gdzie ją los przeczcił, może za ocean, i pewnego pięknego poranku, jedno z pism Nowego Yorku poda wizerunek i biografię sławnej lekarki, piszącej naukowe rozprawy, do której w godzinach przyjęć zbiegają się setki szukających pomocy kobiet i dzieci. Czyż mogłam przypuszczać, że zginął w drodze list, ten właśnie w którym, jak mówisz, opisywałaś mi historię swoich studjów w Glazgowskiej szkole medycznej dla kobiet, i donosiłaś o uzyskaniu dyplomu doktora. To też wczoraj odebrawszy list rekomendowany z Glazgową zaadresowany nieznanym mi czysto angielskim charakterem, łamałam sobie głowę, kreśląc pokwitowanie odbioru, ktoby mógł do mnie pisać z Glazgowy.

Wyznaję ze wstydem, że bynajmniej nie wpadłam na myśl, iż odzywa się do mnie moja droga Marya, o której nie przestawałam myśleć; fotografia wisząca nad biurkiem, gdybym nawet chciała się jej przenieść, byłaby mi uchroniła od tego grzechu śmiertelnego. Lecz gdy rozerwawszy kopertę wyczytałam u dołu ostatniej stronicy ukochane imię, a na dołączonej fotografii ujrzałam znów drogie mi oblicze, wprawdzie nieco dziś poważniejsze i bardziej „sybilliczne“ — pamiętasz nasze dawne żarciki, jednak mimo to będące wiernym obrazem mojej Maryi — a w każdym jej słowie odczułam szczerą siostrzaną, wtedy, o moja dawna niezapomniana towarzysko, przejęło mnie tak wielkie uczucie radości, że aż się rozplakałam ze wzruszenia.

Wiesz że nie mogłam znieść Laury Schirmer. Czulałam dla niej pogardę za to, że podczas lekcji literatury, gdyśmy czytały Dziewicę Orleańską, pochłaniała pod stołem książki Paul de Cocq'a, zającą przy tem pralinkę. Teraz chętnie wszystko jej wybaczam, ponieważ przez nią odbierałaś ustne o mnie wiadomości, i dowiedziałaś się, że ja nie umarłam, i nie przeniewierzyłam Ci się, lecz tylko przez ośm długich lat ani słowa o Tobie nie słyszałam. Radość taką w moim umyśle wywołała zamęt, tak mnie oszłomiła, że nie spodziewaj się dziś odemnie rozsądnego listu, któryby jak Twój, dał Ci wierny obraz mojego życia. Gdybym nawet była zdolna go skreślić, nie byłby on w każdym razie tak wesoły jak Twój. O Maryo na jednym punkcie jestem od Ciebie szczęśliwszą: mam kochanego męża, którego co dzień bardziej szanuję i poważam, a Ty biedaczko z Twoim krótko używałaś szczęścia. Zostały ci jednak dzieci, trzech miłutkich chłopczków; musisz przysłać mi ich fotografię. Zawód twój napęłnia Cię poczuciem zadośćczynienia swoim obowiązkom, daje Ci pewność że nie tylko niesiesz pomoc ludzkości, zwłaszcza jej żeńskiej połowie i stajesz się jej

dobroczyńcą, lecz przytem wolna od gnębiących trosk o byt materialny, możesz wychować swych chłopców, jednając sobie szacunek wszystkich, którzy Cię znają i otrzymując w nagrodę za uczciwą pracę wdzięczność tych, którym w cierpieniach byłaś pomocą, tymczasem ja...

Lecz dajmy pokój; niech w tym pierwszym liście nie odezwie się żaden gorzki wykrzyknik.

Odnalazłyśmy się i nie możemy poraz drugi zaginać dla siebie. Musisz przyjmować, jak za naszych młodych lat, bezgraniczne zwierzenia mego serca, które przed Tobą otworzę, jako Twa dawna, pociechy pragnąca „penitentka,“ tak mię bowiem wówczas nazywałaś. Lecz nie obawiaj się, żebym pociechę, której mi udzieliłaś, mierzyła długością Twoich listów. Pamiętać o tem zawsze będę, że Ty jedną tylko godzinę poświęcić możesz na rozmowę, ja zaś mam na pogawędkę tyle czasu ile mi się podoba.

Tylko gdy od czasu do czasu odbiorę od Ciebie pozdrowienie, przyjazne słówko, które mi powie że nie naprzykrzam Ci się moimi listami, będę zadowolona tak jak wówczas, gdy słuchając skarg moich, gładziłaś ciepłą dłonią moje włosy i szeptałaś swym czystym, spokojnym głosem: do góry głowę, moje biedactwo. Sami sobie życia nie wybieramy, ale... musimy się starać najlepszy zrobić z niego użytek.

Wtedy już byłaś pierwszą w angielskim języku, no, jak zresztą we wszystkim.

Podziwiałam w Tobie energię i siłę woli, choć człowiek najodważniejszy muru głową nie przebiję. Nie mądra jestem, wpadam znów w ton elegijny! Wolę więc zakończyć mój list radnym okrzykiem i serdecznym podziękowaniem za ten błogi „cud“ i pozostaję na wieki wierną twoją penitentką

Marta.

LIST II.

25 Września.

Mogłam była przypuścić, i rzeczywiście przyszło mi to na myśl, skoro już wysłałam list, że zasmucę Cię swemi westchnieniami, których nierozsądna stłumić nie zdołam, porównując swoje życie z Twojem! Przedewszystkiem wzbudzę w Tobie podejrzenie, iż nie jestem tak szczęśliwą w pożyciu małżeńskim, jaką powinnabym być, stosując się do przysięgi, którą złożyłam memu małżonkowi, według praw Boskich i ludzkich. Byłam już gotowa posłać na drugi dzień obszerne post scriptum do mojego listu z dokładnem przedstawieniem mej miłości dla Helmuta, którego fotografię załączyć chciałam; lecz potem zaniechałam tego zamiaru, albowiem powiedziałam sobie: jeżeli ja tak zaraz listami swemi natarczywie zarzucać będę, to ona się przestraszy i w końcu pragnąć będzie, aby ta zmartwychwstała przyjaźń młodości pierzchnęła, choć dla tego, żeby jej drogiego czasu nie krađa. Pytasz mnie dlaczego nawet w szczęśliwym małżeństwie spokoju znaleźć nie mogę? Muszę Ci się zatem wytłumaczyć; dzieje moje to pospolita historia życia kobiety, ja nie posiadam natury tak wyjątkowej jak twoja, i nie żyję w kraju tak swobodnym jak Anglia.

Znałaś moich rodziców i wiesz jak byli dla Ciebie życzliwi, ponieważ z ich córką żyłaś w serdecznej przyjaźni, chociaż ta przyjaźń czasami kłopotu ich nabawiła. Mieli Cię bowiem za niebezpieczne stworzenie, ponieważ Ty zawsze otwarcie mówiłaś co czułaś i myślałaś, nawet gdy to było przeciwne wyobrażeniom ogółu. Oni się obawiali iż Ty na ich dziecko zły wpływ wyrzucić możesz. Lecz kochali mnie zanadto aby mi bronić obcowania z Tobą, i odetchnęli dopiero, gdy ty zaraz po opuszczeniu wyższej pensyi żeńskiej, postanowiłaś w Anglii wstąpić na medycynę. Mały spadek po ciotce ułatwił Ci wykonanie zamiaru.

Rodzice widząc mój żal, że się z tobą rozstać musiałam, nie ganili nawet Twej emancypacji. Idź za mąż uczciwie! Oto cel życia, dobrze wychowanej panny, — powtarzali. Lecz mało kto rozumie że nie samym chlebem człowiek żyje.

Córka należy do domu rodziców, dopóty, dopóki nie wstąpi w dom męża! to było niewzruszone przekonanie mojego ojca. Był on sławnym adwokatem, lecz ze starej szkoły, która się niewiele troszczyła, o te od stu lat tak często zmieniane życiowe stosunki i nowe pytania prawne, które ztąd powstawały; zajęty swoim urzędem nie rozmyślał nad zagadnieniami ludzkości.

Nawet wysoko wykształceni mężczyźni nie zadają sobie trudu zastanowienia się nad temi kwestyami poważnie.

Ojciec był przeciwny emancypacji kobiet, może z powodu uwielbienia, jakie mu okazywała własna żona.

Jak miłą była moja matka to pewnie pamiętasz. Miała najlepsze serce i każdemu pragnęła dobrze czynić. Utalentowana, wykształcona i powabna, do późnego wieku zachowała twarz młodzieńczą i świeżą, a jednak nie była zalotną.

Dom u nas prowadził się skromnie, gdyż stosunki niezamożnego radcy nie pozwalały na wystawne życie. Była ona wzorową żoną i matką, to też ojciec widział w niej wzór wszystkich cnót kobiecych.

I ja byłam do niej przywiązana największą czułością. Ale ponieważ nasze natury różniły się niezmiernie i ja jeszcze będąc młodem stworzeniem zastanawiałam się już nad wszystkim, prędko więc spostrzegłam, że tej doskonałej kobiecie czegoś nie dostawało, co w istnieniu ludzkim o prawo swoje się upomina; była i została przez całe swoje życie istotą czystą i dobrą. Prawda, że w braku własnych myśli, uparczywie obstawała przy zasadach, których wypełnienie uważała na równi z religią.

Że cała się oddała domowi i trosce o los męża i dzieci, — któżby jej mógł za to czynić wyrzuty! Jeżeli bowiem, stosownie do mniemania Goethego, mężczyzna świat w swoich przyjaciółach powinien widzieć, o ileż więcej prawa ma kobieta widzieć swój świat w swojej rodzinie, jeżeli ją posiada, a zwłaszcza taką, która pochłania całą potęgę jej miłości. Lecz o ile szlachetnym i uszczęśliwiającym jest ten cel, o tyle przewrotna są drogi, któremi się idzie dla osiągnięcia go.

Moja matka prowadziła dom z pedantyzmem, który nawet jej mężowi zdawał się nieraz przesadnym.

Nieraz żartował sobie z niej, mówiąc: pierwsza bielizna a potem mąż i dzieci. Cierpiał często z powodu zagorzałego porządkowania, które tu u nas nazywają strasznym chaosem. Matka dla męża byłaby bez namysłu rzuciła się w ogień i w wodę, lecz wyrzec się dla niego dorocznych porządków, które za każdym razem całe dwa tygodnie trwały, nie potrafiłaby nigdy.

Mój biedny ojciec poddawał się tej konieczności dwa razy do roku, uważając to za jedyny cień — w tej zwykle promiennej atmosferze domowego szczęścia. A ponieważ to była jedyna wada, którą jego kochana żona posiadała, przyzwyczaił on się do tego i tę słabość jako cnotę szanował.

Mocno był też przekonany, że dla jego córki, nie może być większego szczęścia, jak pod okiem tak doskonałej gospodyni, przejść szkołę powołania kobiecego. Wreszcie gdy ty i ja dostaliśmy patenty z ukończeniu nauk, mogłyśmy już bywać na balach i zebraniach. Lecz ja zazdrościłam Ci, że Ty nadal będziesz mogła studjować prawdziwą naukę, ja zaś miałam się uczyć tylko gospodarstwa.

Myślałam że w gospodarstwie domowym zachodzą też bardzo zajmujące problemata, prędko jednak poznałam, że wszystko polegało na praktycznej czynności, którą w skromnym obywatelskim domu z dobrą chęcią i rozsądkiem, łatwo prowadzić można. Mój ojciec, który nawet dzieła Goethego starannie zamykał przedemną, przytaczał mi ów znany list poety, w którym ten stary jegomość o wychowaniu dziewcząt mówi, dowodząc że wykształcenie wcale dla kobiet nie jest potrzebne, anatomiiast znajomość gospodarstwa domowego. Ale gdyby on nawet czysto złotą mądrość recytował, w naszym domu matka trzymała cugle panowania tak zazdrośnie i mocno, że ja ani do piwnicy, ani kuchni nigdy dopuszczoną nie byłam. Wszystko ograniczało

się na teoretycznych informacjach. I te słowa poety: „Jeżeli dziewczę nareszcie życzy sobie coś przeczytać, wybierze niezawodnie książkę kucharską, nie dały się do mnie zastosować.

Nawet Brillat-Savarin nie zachęcił mnie do zaglądania w zakres państwa, które przede wszystkim wymaga doświadczenia i artystycznych talentów w dziedzinie kulinarnej, a myśmy nie dawali obiadów wystawnych.

Muszę już zakończyć mój list, gdyż woła mnie kucharka. Chcę memu kochanemu mężulkowi przyrządzić ulubioną potrawę, a Katarzyna bez mojej pomocy nie potrafiłaby jej zrobić. Wiesz moja najukochańsza, iż pomimo tego wszystkiego, kropla macierzyńskiej krwi odżywa się we mnie. A ponieważ jutro u mnie pranie, schocking, nie prawda? Zatem dopiero w przyszłym tygodniu przerwana nie dalej prząść będę.

Ukłony i tysiące całusów dla ciebie od twej

Marty.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NIEDOLA.

OBRAZEK.

(Dalszy ciąg).

Od opisanych wyżej wypadków ubiegło już sześć długich i zmudnych tygodni. Wiktorya nadspodziewanie szybko odzyskując siły, była już prawie zdrową.

O śmierci Żewickiego, ani też o całej sprawie niespodziewanego zapisu jeszcze nie wiedziała, bowiem lekarz zabronił zawiadamiać ją o tem wszystkim.

Po raz pierwszy wyszedłszy ze swego pokoju, spotkała się oko w oko z Tadeuszem.

Była to niedziela. Państwo Kolscy wyjechali do kościoła, tylko Tadeusz z powodu silnego zapalenia gardła, nie mogąc wychodzić na powietrze, pozostał we dworze.

Wiktorya szybko się kuniemu zbliżyła. Obiedwie ręce wyciągnawszy na przywitanie, radośnie zawołała:

— Tadeusz!...

— Witam panią—odpowiedział chłodno.

— Cóż to znaczy?!

— Zapytaj pani swojego... tamtego!...

Wiktorya na razie wodziła osłupiałym wzrokiem dokoła, nie mogąc uwierzyć w to, aby najwierniejszy z przyjaciół śmiał jej rzucić w twarz tak nikczemną obelgę i za co? — za to, że jego tylko ukochała serdecznie!

— Co pan mówi?! — jęknęła wreszcie—ależ to chyba żarty!... ale zbyt bolesne!

— Szkoda, że pani nie wstąpiłaś na scenę! — tam byłabyś doszła do wielkich rezultatów...

Dziewczyzna aż się o krok cofnęła.

— Czego pan chcesz odemnie?!... ach! a więc i ty uwierzyłeś w to!... ty, panie Tadeuszu?!...

Zaśmiał się Tadeusz tonem, w którym drgało echo nietłumionej wzgardy, wreszcie rzucił nową obelgę:

— Wywdzięczył ci się po magnacku. Obdarował cię wcale intratnym majątkiem. Wieszysz!...

I przy tych słowach, skłoniwszy się z przesadą, znikł za drzwiami stołowego pokoju, a Wiktorya przez czas długi stała bez ruchu, nie drgnawszy nawet, jakby życie z niej naraz uleciało.

„Wywdzięczył po pańsku...” — szepnęła wreszcie przez zacisnięte zęby — co to jest?... co to znaczy?!... czego on chce odemnie?!...

Lecz czując, że siły ją opuszczają, powróciła do swego pokoju i tam dopiero usiadłszy na swoim łóżku, wybuchnęła płaczem serdecznym,

aż Mateuszowa, usłyszawszy to, przybiegła do niej natychmiast.

— Co ci to? serdeńko ty moje?... sierotko złoścista!... co ci to?! — obrzuciła ją pytaniami troskliwa piastunka.

Wikcia nie mogła na razie odpowiedzieć ani słowa: lkanie poprostu rozrywało jej piersi; uspokojona jednak wreszcie, szczeremi słowy opowiedziała całą rozmowę z Tadeuszem.

— Marni oni wszyscy! — zawołała stara—tak ci nie ma jeszcze powodu do rozpacz, a chociaż, jak miarkuję—ty, małeńka moja, miłujesz zda się tego pyszałka, — to jednak — niechajby on zceził! gdyby to na mnie trafiło! Gdzież u niego serce! gdzie sumienie! aby sponiewierać tak zaczął jak ty dziecinę!

— Oj, biednam ja biedna! taka moja niedola! — zawodziła dziewczę, ukrywając twarz w dłoniach

— Cicho!... no, cicho!... — uspokajała Mateuszowa.

Tego jeszcze wieczoru rozplątał się język starowinie i oto Wiktorya dowiedziała się od niej wszystkich szczegółów, dotyczących jej osobistych.

— Wydobyłam to wszystko od Baški, która podsłuchiwała rozmowę tutejszego dziedzica z dziećką.

I Mateuszowa naszkicowała sierocie całą jej obecną pozycję w laskowickim dworze.

— Stryjostwo radzi by panię zatrzymać, boś teraz można i nielada dziedziczka, a oniby może chcieli, coby im się i powtórny rozbój udał bezkarnie — mówiła po cichu, nachylając się do ucha. A gdy panię zwróciła na nią zdziwione oczy, Mateuszowa wtedy dopiero opowiedziała jej wszystkie szczegóły o śmierci Żewickiego, o jego testamencie i o tem, że pan Tadeusz stanowczo uparł się, aby ją usunięto z Laskowa, na co Kolscy, jakkolwiek niezbyt chętnie, jednak musieli się zgodzić, gdyż pan Koszucki potężny wywierał wpływ na Kolskich, o czem zresztą wszyscy już zdawna wiedzieli doskonale.

Wiadomość o śmierci Żewickiego sprawiła na Wiktoryi piorunujące wrażenie. Załamała ręce i w jednej chwili zalała się łzami rzewnymi.

— Zginął przezemnie! — zawołała — a ja nie szczęściem przeszkodzić nie mogłam!

— Miłował to on ciebie serdeńko szczerze! bo nawet w godzinie śmierci imię twoje na jego ustach było. Mój stary to opowiadał, że pan dziedzic w chwili konania z tobą, serdeńko, gwarzył. Miał przytem widzenie, i wtedy to mówił w te słowa: „Jesteś tu... stoisz przedemną... ale cóż to? — ubrałaś się w habit zakonny... Ach, jakże ci ładnie w tej białej zasłonie...”

— Tak, tak, paniusiu — dodała z głębokim przekonaniem — on cię miłował nad własne życie!

— Szlachetny! — szepnęło z westchnieniem dziewczę.

— No, ale namyśl się teraz, serdeńko, nad tem, co dalej czynić należy, boć tu już moja rola skończona. Trzeba mi powracać do domu.

Rozmowę ich przerwał turkot bryczki, zajeżdżającej przed ganek.

— Mój przyjechał — rzekła radośnie Mateuszowa, spoglądając w okno.

W chwilę potem wszedł on do pokoju. Uroczystą miał minę, lecz i smutek zarazem widniał mu na czole.

— Niech będzie pochwalony!

— Na wieki! — odpowiedziano.

— Cóż to panię nasza zapłakana?

— Ach, mój Mateuszu! czemuście mnie odrazu nie zawiadomili o śmierci.

Starzec z wyrzutem spojrzął na żonę.

— Ot, babski język! — zawołał — toć doktor i teraz jeszcze zabronił o tem gadać, a ona już wytrzymać nie mogła!

— Pan Koszucki pierwiej jeszcze wszystko panię rozprowadził — broniła się kobiecina — nie było więc już co ukrywać.

Na wspomnienie Koszuckiego starzec zmarszczył brwi.

— A jakże się panię dzisiaj czuje?

— Gorzej niż zwykle.

— W każdym razie droga do Karczówki nie daleka...

— A ja tam po co?

— Po co, a no jako nasza dziedziczka.

— Ludzie by mnie palcami wytykali, gdyż cała okolica wierzy w plotkę, która już dzisiaj urosła do potwornych rozmiarów.

— Kto ci panię nasza będzie chciał ubliżyć — temu stary Mateusz tak gębę zamknie, że inni nie będą już próbowali językowego szamerunku.

— W każdym razie — odparła Wikcia — obowiązek przyjęcia zapisu spełnię — bądźcie o to spokojni.

— Postępowanie spadkowe swoją drogą, — a przyjazd swoją. Dzisiaj, jeśli łaska, niechaj paniusia pożegna się ze stryjostwem, a jutro — w imię Boże — do Karczówki!

— Stanie się według waszego życzenia i według rady waszej, szczerzy mój i jedyny opiekunie — rzekła z rezygnacją biedna skołatana panię.

— Konie przysyłę. A ty stara przygotuj się też na jutro, abys z panięką razem wyruszyła.

Poczem, pożegnawszy się, odjechał, nie widząc się nawet z Kolskimi.

Na drugi dzień rano Wiktorya, przyszedłszy po swojej chorobie po raz pierwszy na śniadanie, postanowiła ostatecznie rozmówić się ze stryjostwem. Nie spodziewała się wszakże, że ta rozmowa zakończy się tak szybko: zaledwie bowiem przedstawiła chęć opuszczenia Laskowa, stryj dość skwapliwie dodał:

— Ależ, bynajmniej! nikt cię tu wstrzymać nie będzie, bodaj już z tej tylko przyczyny, że lepiej jest przecież siedzieć we własnym majątku, skoro się go zdobyło kosztem tak wzniosłych ofiar...

Wiktorya groźnie brwi ściągnęła.

— A powtóre — mówił w dalszym ciągu stryj Paweł — zrobiliśmy niezbyt pocieszające odkrycie, iż Tadzio najniepotrzebniej został wplątany w błędne koło niejasnych uczuć... i szczęśliwym tylko trafem udało mu się uniknąć większego błędu. Zatem pobyt twój pod jednym dachem z niewinnym chłopcem byłby co najmniej niekonsekwencją, której popełnić nie możemy...

W dziewczęciu krew zagrała.

Po cóż ci ludzie mnie ściągali do siebie obietnicami — pomyślała w tej chwili. Szło im głównie o to, aby nazwisko Kolskich nie zostało splamione pracą, podejmowaną przez jednego z członków rodziny na arenie ciężkiej walki o byt powszedni. Poza tem obawiali się, abym ja, doświadczywszy niedostatku, nie wystąpiła z pracami swojemi i nie upomniała się o krzywdę wyrządzoną ojcu. Pojmuję to wszystko — myślała Wiktorya — ale czemu oni zawsze i na każdym kroku tak mnie poniżają? czy dla tego, że bezbronna sierota? Nie, tak się nie godzi!

(Dokończenie nastąpi).

Z AMERYKI.

New-York, 15 Lipca.

O nowym proroku, który się tu niedawno pojawił, chcę na wstępie dzisiejszego listu napisać: dużo się o nim w New-Yorku w dobie obecnej mówi. Prorok traktuje poważnie kwestyę nieśmiertelności duszy i dowodzi sprawy tej w sposób naukowy. Prorokiem tym jest doktor filozofii Hyslop, profesor logiki, etyki i psychologii na uniwersytecie Kolumba w New-Yorku. Hy-

słop ma opinię człowieka uczciwego i jest ogromnie wykształcony zarówno w kierunku filozoficznym, jak i przyrodniczym, oraz polityczno-ekonomicznym; jest autorem podręcznika logiki, autorem wielu studyów psychologicznej treści; młodość idzie u niego w parze z wielką nauką i powagą. Profesor Hyslop wierzy głęboko w to, iż potrafi dowieść nieśmiertelności za pomocą realnych argumentów, polegających na stosunku, jaki łączy duchy z człowiekiem; jest więc spirytystą, ale spirytyzm jego ma podkład naukowy i budzi ogromne zajęcie wśród tutejszej publiczności. Odkrycia profesora wywołały setkę artykułów i studyów w pismach amerykańskich.

Profesor Hyslop oddawna zajmował się magnetyzmem, uczestnicząc w posiedzeniach amerykańskiego towarzystwa „Society for Physical Research.“ Bystry wzrok uczonego doskonale chwycił szarlatanizm spirytyzmu; boją się też go wszelkie „medja“ strasznie. Ale jedno medjum zwyciężyło sceptycyzm profesora; tem medjum była pewna dama z Bostonu, pani Piper, która dostarczyła badaczowi w tej mierze „naukowych faktów“ do stwierdzenia nieśmiertelności duszy. Pani Piper ma lat 38, mieszka w Bostonie, jest żoną krawca i ma dwie córki. Od lat piętnastu w charakterze medjum uczestniczy w seansach za małym wynagrodzeniem. Kobieta ta jest bezwarunkowo uczciwą. Znany psycholog, Wiliam James, często posiłkował się tem medjum w badaniach spirytystycznych; nawet z Anglii profesor Ryszard Hodgson przyjechał do tego medjum. Wszyscy wierzą, iż pani Piper dowodzi nieśmiertelności duszy. Profesor Hodgson otrzymał za pośrednictwem pani Piper pozdrowienie od zmarłej swej matki. Są przeciwnicy pani Piper; między innymi do ich liczby należy znany pisarz i lekarz filadelfijski, dr. Mitchell, który uważa wszystko za kłamstwo.

Pani Piper przez szereg lat głośno wypowiadała myśli różnych duchów, a od r. 1892 zaczęła te myśli spisywać. Medjum nie używa żadnych spirytystycznych sposobów: pukań, wirowania stolików etc. — tylko rozmawia z duchami. Na wstępie pani Piper doznaje wstrząśnięć epileptycznych, a potem zaczyna prowadzić rozmowę z duchami i notować ich odpowiedzi na różne pytania. Bądź co bądź, ze stanowiska patologii psychologicznej, pani Piper przedstawia okaz bardzo interesujący.

Profesor Hyslop jest przekonany, iż za pomocą pani Piper stwierdzi nieśmiertelność duszy. O ile się to sprawdzi, przyszłość pokaże; mieliśmy już tylokrotnie do czynienia w tych materjach z kuglarstwem, że i te nowe uświelenia budzą wątpliwość. Profesor Hyslop twierdzi, iż doszedł do wniosku, że dusze po śmierci doznają dwóch uczuć: ciepła i światła... Wiary tu potrzeba — nie więcej.

Przechodząc do innego tematu, zaznaczyć muszę, iż wychodźstwo ludu polskiego do Ameryki trwa w dalszym ciągu. Z powodu zaniechania przez rząd brazylijski kolonizacyi — cały zamorski prąd emigracyjny kieruje się bezładnie do Kanady, zkąd znowu hiobowe dochodzą wieści. Nikt nie dba o to, że lodowata ta ziemia, w której zwykle już w Sierpniu wymarza zboże na pniu, nie nadaje się do gromadnej emigracyi ludu naszego, a jednak w tym roku około 10,000 Polaków wyszło na emigracyę. Prywatne listy donoszą o portach i okrętach, pełnych ludzi, mówiących po polsku, i dążących nie wiedzieć do kąd i po co!..

Opuszczają glebę rodzinną właściwie tylko zamożniejsi; najbiedniejsi nie mają za co jechać

i emigrują w dziedzinę bytu coraz nędzniejszą. Tem się tłumaczy, że wychodźstwo się wzmacnia, kiedy urodzaje są lepsze i widoki na sprzęt pewniejsze; łatwiej wtedy grunt i chałupę sprzedać i zastawić — i wyjechać...

P. W. Sławski z Gniezna, który od lat 10-ciu przebywa w Ameryce, opisuje niedolę wychodźców polskich w Kanadzie. W moich wędrówkach — pisze — zablakałem się do stolicy kanadyjskiego stanu Manitoba, miasta Winnipegu — znalazłem właśnie ów główny punkt przystankowy naszych otumanionych braci.

Nigdzie większej nie widziałem nędzy. Na ulicy Fonseka wznosi się kołosalny gmach z napisem polskim: „Przytułek dla emigrantów.“ W suterynie natrafiłem na gospodarza, mówiącego dobrze po polsku. Człowiek ten, choć niechętnie patrzył na mnie, pozwolił mi zwiedzić budynek. Zwolna, bojaźliwie zaczęli się wysuwać z różnych kątów ludzie podobni do szkieletów. Niewiałe obszyte w skóry baranie, w długich butach i z wyblakłymi twarzami, wywarły na mnie przygnębiające wrażenie. Zewsząd błagano mnie o pomoc i ratunek. Pióro wzdryga się opisać tę okropną nędzę i cierpienie, najakie ci ludzie są wystawieni; wszyscy mają odmrożone członki. Co ci ludzie będą dalej robili, o to nikt się nie troszczy. Na wiosnę wywożą ten lud nad jezioro Winnipeg, gdzie trzy miesiące w roku jest ciepło, przez dziewięć trwa zima. Karawana to żałobna, straszna, rozrzewniająca!..

W tej krainie wychodźcy żyją nędznie, bez księdza i dziecziej powoli...

Strasznel!..

Wiadomości z Manili brzmią coraz niepomysłniej. Pomimo bohaterkich wysiłków wojsk amerykańskich, goniących ustawicznie za nieprzyjacielem przez lasy i bagna, wśród podzwrotnikowych upałów i deszczów, nie powiodło się dotychczas otoczyć ani razu większego oddziału Filipińczyków i zabrać go do niewoli. Podczas ostatniej w połowie Czerwca wyprawy, setki żołnierzy amerykańskich uległy porażeniu słońca, trzydzieści sześć godzin obywać się musieli bez pokarmu, gdyż wozy z żywnością nie mogły za nimi zdążyć. O pogromie nieprzyjaciela nie było nigdy mowy. Cofał się wprawdzie, lecz wracał prędko na swe dawne stanowiska, skoro wojsko amerykańskie przeszło dalej; sprawdza się też przepowiednia jednego z oficerów hiszpańskich, że Amerykanie każdą bitwę z Filipińczykami wygrają, lecz że każda wyprawa przeciw nieprzyjacielowi przedsięwzięta, stanowić będzie — przegrana. Faktycznie wojska amerykańskie posiadają zaledwie najbliższe otoczenie Manili, pomimo, że przedsięwzięły zwycięzki pochód het, na północ aż do gór i oczyszczały z nieprzyjaciół obydwa brzegi rzeki Pasig i okolice jeziora Laguna.

Wszystkie zdobyte na Filipińczykach miasta znajdują się znowu, z małymi wyjątkami, w posiadaniu Filipińczyków. Miasta te są spalone; gromady spokojnych krajowców cisną się gwałtem do Manili, ponieważ w głębi kraju cierpią głód. Pragnąc odjąć powstańcom możność zaopatrzenia się w żywność, generał Lawton kazał zniszczyć zapasy, które, według jego twierdzenia, starczyć mogły dla 30,000 ludzi na przeciąg sześciu miesięcy. Podobnie postępują Filipińczycy, niszczący wszystko czego nie mogą zabrać z sobą, z obawy, ażeby się nie dostało w ręce Amerykanów.

Odstąpiono już od twierdzenia, że generałowi Otis wystarczy w zupełności 30,000 wojska, by jeszcze w r. b. powstanie na Filipinach usmie

rzyć. Przyznają już w Waszyngtonie, że owe 30,000 wojska są potrzebne do służby w polu i że potrzeba jeszcze 20,000 do obsadzenia garnizonami miast zdobytych. Kwestya ta była przedmiotem narady ministra z prezydentem. Stało na tem, że trzeba podnieść liczbę wojska regularnego do 65,000, wyznaczonej przez kongres, a nadto powołać 35,000 ochotników, którymi na czas wojny wolno będzie prezydentowi rozporządzać. Należy się spodziewać, że mając do dyspozycyi tak wielką siłę zbrojną, doprowadzi Mac-Kinley swą niezaszczytną wyprawę filipińską do końca.

Z Kuby również nadchodzą wcale nie wesołe wiadomości. Jeden z poważnych kubańczyków, przebywający obecnie w Stanach Zjednoczonych, mówił o planach swoich ziomeków, którym gospodarka amerykańców na wyspie się nie podobą. Postanowili nosić cierpliwie obecność wojsk amerykańskich na Kubie przez dwa lata. Jeżeli po upływie tego czasu rządy wyspy nie dostaną się w ręce krajowców, i jeżeli amerykańskie z wyspy nie ustąpią, krajowcy zamienią Kubę w jedno morze płomieni, paląc wszystko co się da, i niszcząc kapitały amerykańskie, ulokowane w różnych przedsiębiorstwach kubańskich. Biorąc na uwagę, że bogactwo Kuby zależy od produktów jej rolnych, a mianowicie od wyprodukowanej trzciny cukrowej i tytoniu, zważywszy nadto że jedna rozpalona głownia zniszczyć może przez jedną noc majątek, przedstawiający wartość wielu tysięcy dolarów, trzeba przyznać, że plany kubańczyków są pomysłem iście piekielnym. Pastor Alfred Barrit, który właśnie wrócił z Kuby, cpowiada w swych notatkach, świeżo ogłoszonych, że jeżeli na Kubie wzbudnie powstanie, będzie to winą amerykańców, którzy drażnią kubańczyków w ich najświętszych uczuciach. Obchodzą się z nimi jak z ujarzmionym narodem; oficerowie lekceważą ich i nienawidzą. Generał Brooke jest niepopularny i dopuszcza się błędów, trudnych do darowania. Rozbrojenie armii kubańskiej jest nonsensem. Wielu żołnierzy składa starą broń i bierze pieniądze na to tylko, ażeby kupić sobie nowy sztucer, rewolwer, i sztylet.

Upały w New-Yorku zaczęły się w r. b. o miesiąc wcześniej, niż zwykle. Od dnia 11 maja do końca tego miesiąca nie spadła ani jedna kropla deszczu. W czerwcu panowały niebywale upały: po 36 z górą stopni ciepła codziennie! W ciągu jednego dnia umarło z powodu upału 26 osób a około 100 uległo porażeniu słonecznemu. Tysiące ludzi chroni się do małych parków miejskich, gdzie im wolno od 11 w nocy do 4 rano spać, siedząc na ławkach.

Ale i u was podobno gorąco daje się wszystkim we znaki, — to nam daje powód do ustawicznej w New-Yorku myśli o Warszawie.

Henryk Grzeski.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: *Sylvanette*, nowella. Wolny przekład Z. S.

Treść: Kobieta i miłość w lirykach El-go. (Szkic estetyczno-literacki), przez S. Ostrowskiego (dokończenie). — Nie mówcie mi, przez Władysława Nawrockiego. — Bez tytułu. Powieść współczesna, przez Stanisława Ostrowskiego. — Listy Marty do Maryi przyczynek do kwestyi podług Pawła Heysego, skreśliła S. W. — Niedola Obrazek (dalszy ciąg). — Z Ameryki.

Dodatek obejmuje: *Sylvanette*, nowella. Wolny przekład Z. S. — Przegląd mód. 20 wzorów i robót z opisem. Sekreta gospodarskie. — Dyspozycya obiadu.

Warszawa. — W Drukarni i Litografii Tow. S. Orgelbranda Synów, Krakow.-Przedmieście № 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою. — Варшава, 21 Юля 1899 г.

Ubranie z wierzchnią suknią w formie „princesse.”

Rycina Nr 1.

Wierzchnia suknia z jasno-popielatego, lekkiego, welnianego materiału, zapięta z tyłu, luźno spływa w kształcie zębato wyciętej tuniki, na białą, jedwabną, haftowaną spódniczkę. Oryginalne przybranie wierzchniej sukni stanowi potrójne naszytce z wąskich, zielonych aksamitek. Naszytce to wznosi się po bokach prawie do stanu i tu, w trzech miejscach przytrzymane jest również potrójnymi aksamitkami, z których każda przymocowana jest guzikiem. Takie naszytce okala zębato wycięcie sukni na piersiach, oszyte prócz tego haftem na jedwabiu i wypełnione białą, układaną w poprzeczne fałdki jedwabną kamizelką. Rękawy przy rękę w żąb wykrajane i oszyte potrójnie aksamitką, zakończone wysokie, białe, jedwabne, haftowane mankiety.

Suknia z płóciennej etaminy, przybrana aplikacją.

Rycina Nr 2.

Suknię z płóciennej lila etaminy, wykończoną na jedwabnej podszewce w tym samym kolorze, ślicznie przybrana aplikacją z ciemniejszej satyny w ciemniejszym trochę odcieniu, obdziergana

przy brzegach białym, grubym jedwabiem. Aplikacja szersza ciągnie się wokoło spódnicy na niezbyt wysokiej, równej falbanie i również wokoło bluzkowego stanika, zapiętego kryto na boku i na ramieniu, — węższa przybiera rękawy, epolety, wycięcie wokoło szyi i pasek. Wycięcie szyi wypełnia szmizetka z plisowanego, białego, jedwabnego muślinu. Przyszycie falbany, oraz brzezi paska, wycięcia u szyi, epoletów i rękawów przy rękę, wykończa wąziutka wypustka z czarnego aksamitu, co nadzwyczaj podnosi efekt tualety.

Suknia ze szkockiego batystu.

Rycina Nr 3.

Spódnica, oszyta średniej wysokości, w koło równą falbaną, luźno spływa na spódnicze z białego, lśniącego jedwabiu, który przez cieniutki batyst trochę prześwieca. Falbana i spódnica przy przyszyciu falbany przybrane są wąską valencią i takąż wstawką. Bluzkowy stanik, przszyty do plisowanego karczka i indyjskiego muślinu, dochodzi tylko poniżej ramion. Na karczek, nałożony rodzaj kołnierza tworzy odrazu epolety. Stanik w gorze, kołnier, epolety, rękawy przy ramieniu i przy rękę, naszyte są odpowiednio do spódnicy. Biała, atlasowa wstążka, związana z tyłu na kokardę, zastępuje pasek.

Marynarskie ubranie dla chłopca od 8—9 lat.

Rycina Nr 4.

Zręczne to ubranie z granatowego szewiotu, składa się z krótkich, dość szerokich, ściągniętych przy kolanach majteczek i z wyrzucanej bluzki, zapiętej na 4 perłowe, białe guziki. Bluzka przy szyi podłużnie wycięta, otwiera się na trykotowej, białej koszulce, w poprzeczne, granatowe pasy. Duży, biały kołnier z angielskiej satyny, osyty granatową taśmą i ozdobiony haftowanymi kotwicami, dopełnia ubrania. Czapeczka z białej satyny lub piki, naszyta jest w poprzek granatową tasiemką i ozdobiona granatowym pomponem w pośrodku.

Suknia pikowa dla młodej osoby.

Rycina Nr 5.

Skromna, lecz nadzwyczajnie dystygowana ta suknia, może być równie dobrze wykonana z białego szewiotu, lub sukienka. Jedyną ozdobą tego ubrania jest kilkakrotna stebnowka, ciągnąca się brzegiem spódnicy i przódów luźnego, bluzkowego stanika, a także na rękawach i wokoło płaskiego, wykładanego kołnierza. Stanik zapięty jest na rząd złożonych, matowych guzików. Wycięcie stanika przy szyi wypełnia szmizetka z ponsowej matyry. Pasek z ponsowej skóry spina złożona kłamra, od paska, na złotym łańcuchu, zwiesza się skórzana



torebka. Przybranie białego, bastowego kapelusza stanowi biała gaza i pod tą opasanie z ponsowego lub czarnego aksamitu, przepięte z przodu agrafą.

Ubranie dla osoby lat średnich.

Rycina Nr 6.

Oryginalne to ubranie z żółtawego, krepowego materiału, składa się ze spódnicy, zakończonej u dołu kilkoma szerokimi plisami, naszytymi jedna nad drugą w ten sposób, że tworzą jakby drugą spódnicę, i ze stanika krótkiego z przodu i z tyłu, z połami zaś od boków przeciągającymi się aż do dołu spódnicy. Poły te obstebnowane są dookoła i podszyte jedwabną materią odpowiedniego do sukni koloru. Prząd stanika rozchodzą się na drapowanej, jedwabnej kamizelce, związanej z boku na długie końce, przytrzymane agrafką. Wycięcie przy szyi okala potrójny chusteczkowy kołnierzyk i wypełnia szmizetka z żółtawego atlasu, pokrytego gipiurą. Rękawy, gładkie przy rękę, przy ramionach zdobią potrójne plisy.

Ubranie, przybrane pasmanterią i aksamitkami.

Rycina Nr 7.

Gładką, z tyłu ułożoną w krytą fałdę, spódnicę, okala gęsto namarszczona, niezbyt wysoka falbana, która wznosząc się z jednego boku naśladuje tunikę. Przystycie falbany pokrywa cienutka, czarna, jedwabna pasmanteria, zakończona z boku rozetą z aksamitki. Stanik bluzkowy, krzyżujący się na przodzie, obciągnięty jest jakby na drugim staniku z białej materii, naszytym poprzecznie pasmanterią. Brzegi stanika oszyte są potrójnie aksamitką, duża rozeta z aksamitki przytrzymuje wierzchnią stronę stanika. Rękawy niezbyt długie, przybrane są przy ramionach epoletami, przy rękę falbaną z koronki i pasmanterią. W modelu ubranie wykonane było z ponsowego fularu. Kapelusz „empire“ z jasnej, lśniącej słomy, rondo podszyte ma białą gazą i przytrzymane w środku pękiem białych stokroci. Drugi pęk takichże kwiatów, pomieszanych z kłosami i białą gazą, dopełniają przybrania. Kapelusz związany jest na białe, gazowe bridy.

Suknia żałobna z kaftanikiem bolero.

Rycina Nr 9.

Kaszmir, przybrany plisami i aplikacją z krepki, bardzo elegancką, stanowi żałobne ubranie. Spódnica, naszyta plisami, przybrana jest krótką tuniką, zakończoną także plisami z krepki. Bolero, wycięte z przodu w zęby, z przodami zachodzącymi jeden na



Nr 8. Suknia do żałoby z kaszmiru i angielskiej krepki, stosowna też dla osoby starszej. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr II, fig. 9—14).

Nr 9. Suknia żałobna z kaftanikiem bolero, dla młodej osoby.

Nr 10. Sukienka do pół-żałoby, dla dziewczynki od 4—5 lat. (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 24—31).

Nr 11. Sukienka do pół-żałoby, dla dziewczynki od 4—5 lat.



Nr 4. Ubranie marynarskie dla chłopca od 8—9 lat. Nr 5. Suknia pikowa młodej osoby. Nr 6. Suknia dla osoby średnich lat. Nr 7. Ubranie, przybrane pasmanterią i aksamitkami.

drugie jest u dołu plisą i przybrane wylogami, zębato ścięte pokryte aplikacją z krepki. Wylogi łączą się z małym kołnierzykiem Medicis, oszytym plisami. Wylogi otwierają się na szelce z krepki. Rękawy w górze rozdzielone w zakładki, przy rękę przybrane są krepką.

Suknia pół-żałobna, dla dziewczynki od 9—10 lat.

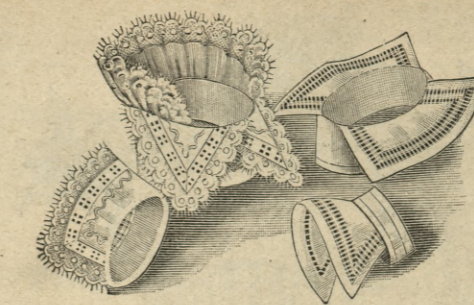
Rycina Nr 11.

Sukienka ta z batystu białego wene kraty, składa się z gładkiej, różnobarwnej, przewiązanej w pasie, jedwabną szarfą i z bluzki, zrywającej się na przodzie i przybranej dużym, odwiniętym kołnierzykiem, wykonanym z wszewki i nanej pasków, tegoż samego materiału co sukienka i z nicianej koki. W takiż sam sposób wykończona jest szmizetka, wypełniająca wycięcie bluzki. Rękawy przybrane są przy rękę wszewką.

Kapelusze do żałoby.

Rycina Nr 12 i 13.

Nr 12 w rodzaju toczka, rozłożona ma falowato wygięte wokół głowy pokryte uplisowaną krepką. Głowa z krepki lekko upiętej. Na



Nr 14 i 15. Modne kołnierzyki i mankiety.



Nr 16. Suknia do żałoby, forma „princesse.“ (Krój i opis pierw. str. tabl. Nr I, fig. 1—8).

przodzie w środku wznosi się wysoka kokarda z krepki plisowanej gęsto. Na woalkę użyć można szeroki, gładki tiul, związany luźno na dużą kokardę z tyłu.

Rycina Nr 13, przedstawia okrągły kapelusz z matowej słomy lub łyka, przybrany podwójną, marszczoną falbaną z krepki, ułożoną wokół główki i zakończonej z lewej strony dużą rozetą. Brzegi falban, jak i brzegi rozety, oszyte są szlaczkiem ze słomy lub łyka, co im nadaje pożądaną sztywność.

Modne kołnierzyki i mankiety.

Rycina Nr 14 i 15.

Kołnierzyk rycina Nr 14, składa się z wysokiej riuzy batystowej, oszytej valencienką, dochodzącej do połowy kołnierzyka i z dwóch zębów, wyłożonych na przodzie. Riusze i zęby, przyszyte są do prostego, stojącego kołnierzyka z batystu. Zęby, wykonane są z haftowanej wstawki, batystu i valencienki. Mankiety przybrane są odpowiednio.

Kołnierzyk ryc. Nr 15, szczególniej stosownym jest do kostiumów angielskich. Główną jego ozdobę stanowi wydatna, szeroka mereszka. Składa się z dwóch części, przyszytych do wysokiego paska i wykładających się po obu stronach szyi. Mankiet



Nr 12 i 13. Kapelusze do żałoby dla młodych osób.



Nr 17. Woreczek haftowany z podstawką na robótki. (Deseń pierwsza strona tablicy fig. 51).

może być wyłożony na rękaw od sukni, albo też pod spodem podszyty.

Woreczek haftowany do robótek, umocowany na podstawce.

Rycina Nr 17. (Deseń pierw. str. tabl. fig. 51).

Lekką i zręczną podstawkę sporządzić można z kilku kawałków trzciny średniej grubości. Z 4-ch kawałków 40 ctm. długich, spaja się za pomocą szrub 2 krzyże, w ten sposób, aby jedne końce owych krzyżów były od siebie o 15 ctm. oddalone; drugie, które stanowią nóżki, o 24 ct. Te ostatnie na 7 ctm. od brzegu łączy się także za pomocą szrub kawałkami trzciny 26 ctm. długimi. Górne końce łączy kawałki trzciny znacznie dłuższe, wystające o kilka ctm. po za końce skrzyżowane. Do trzciny, łączącej górne końce podstawki, przymocowywa się woreczek z marszczonego, wzorzystego fularu, naciągnięty w górze i u spodu na drucianą ramkę, odpowiedniej do podstawki wielkości. Po obu stronach woreczka zwiesza się wyrzucona na trzcinkę, marszczona falbana, 14 ctm. szer. Wierzchnia część woreczka, ściągnięta na wążką wstążeczkę, zakończoną kokardkami, wykonana jest z materii jedwabnej, w odpowiednim do fularu kolorze. Na materii wyszyty jest haft, wskazany na pierw. str. tablicy, fig. 51. Cały woreczek podszyty jest podszewką z fularu gładkiego. Na wszystkich spojeniach podstawki wiązane są kokardy z morowej wstążki, które całość nadzwyczajnie przyozdabiają.

Haft do ręczników, serwet i t. p.

Rycina Nr 18. (Deseń pierw. str. tabl., fig. 50).

Haft ten wykonywa się albo od razu na ręczniku, lub innej sztuce białej, albo na pasku płótna, który następnie do białej przyszywa. Ten drugi sposób jest o wiele łatwiejszy, ponieważ można wybrać na ten cel płótno rzadkie o wydatnych nitkach, lub temu podobny jedwab' do prania. Figury deseni połączone są podwójną i potrójną mereszka, wykonaną lśniąciami, saskimi niemi.

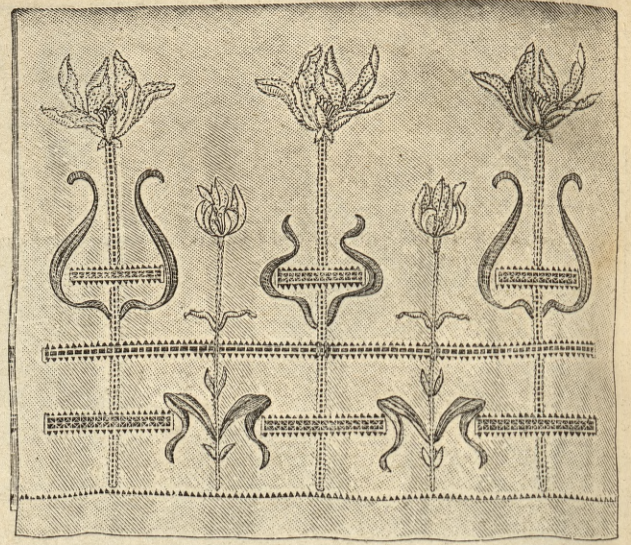
Serwetka na stolik do salonu. Robota point-lace.

Rycina Nr 20. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 104 i 105).

Wskazana tu przez nas ręczna robota nadzwyczajnie jest efektowna, a przytem wcale nie mozolna. Deseń, podług fig. 104 i 105, przenosi się na kalkę, a następnie tę przymocowywa się do kawałka zielonej materii, mającej 90 centim. w kwadrat. Wszystkie figury deseni obwodzi się tasiemeczką point-lace, 1 ctm. szerok., a następnie łączy niemi saskimi, ścięgami, używanymi przy robocie koronek.



Nr 19. Kaftanik ranny z lekkiego jedwabiu do prania. (Krój i opis odwr. strona tablicy Nr X, fig. 78—83).



Nr 18. Haft na ręczniki, serwety i t. p. (Wzór pierwsza strona tablicy fig. 50).

Paltocik.

Rycina Nr 6 w Bl. Nr 32. (Krój pierw. str. tabl. Nr III, fig. 15—23)

Przybranie zręcznego tego sukienego paltocika, stanowi bogate wyszycie jedwabną lub wełnianą tasiemeczką, w tym samym co paltocik kolorze. Wyszycie z przodu tworzy rodzaj szamerowania, które zastępuje zapięcie na guziki, albo haftki. Fig. 15 podaje deseń na wyłogi, fig. 22 — na plecy, fig. 23 — na przód i brzeg paltocika.

Spódnice z batystu i flaneli, przybrane haftem.

Rycina Nr 20 i 21 w Bl. Nr 32. (Zmniejszony krój pierw. str. tabl. fig. I—VI i 49).

Bardzo ładną i strojną jest spódnica batystowa z podwójną falbaną, złożoną z haftu i zakładek. Każda z falban ma szerokości 20 ctm., stosownie więc do 40 ctm., jakie obie falbany wynoszą, umiarkować należy długość brytów spódnicy. Flanelowa spódnica (ryc. Nr 21), wszyta w szeroki karczek, z cienkiej, białej satyny, zakończona jest falbaną, dzierganą jedwabiem, przytrzymaną pliską, na której szlaczek wyszyty jest również jedwabiem, ściąg. point d'épines.

Przepisy gospodarskie.

PLACEK Z JABŁKAMI.

Kwarta mąki, cztery lub pięć żółtek rozbić z dwoma łyżkami cukru, po rozbiciu dostatecznym, dolewa się większe pół szklanki śmietany i pół łyżeczki sody, tem rozczynia się ciasto. Jak już dobrze wyrosnie, ciasto rozwałkować na dwie połowy i nałożyć następującą masę: Osmnaście jabłek średniej wielkości upiec, wybrać i rozetrzeć, dodać cukru do smaku, rodzynków, migdałów i wanilii, masę tę przykryć drugą połową ciasta, posmarować jajkiem, pokłuć szpilką wsadzić w piec na trzy kwadransy i wydać na stół. Proporcya na 12 osób.

Obiad na Niedzielę.

1. Chłodnik.
2. Paszteciki w kruchym cieście.
3. Szczupak w majonezie.
4. Pomidory faszerowane.
5. Cąber barani z mizerją.
6. Lody owocowe.



Nr 20. Serwetka na stolik do salonu. Robota point-lace. (Deseń odwrotna strona tablicy fig. 104 i 105).

UWAGA. Do dzisiejszego numeru dołącza się tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót w tym i w przyszłym N-rze „Bluszczu“ podać się mające.